Nr. 17 (1527). Warszawa, 23 kwietnia 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

O prawa zasadnicze.

Przeobrażenia, które przeżywa obecnie ustrój państwowy Rosji, zaznaczają się od czasu do czasu silniejszymi akcentami, które pozwalają do pewnego stopnia ocenić położenie w danej chwili. Takim akcentem były rozprawy w Izbie państwowej nad interpelacją opozycji z powodu przepisów z d. 24 sierpnia r. z. o sposobie zatwierdzania nowych etatów wojskowych. Przepisy te, wydane w drodze Najwyższego Zarządu, z pominięciem izb prawodawczych, opozycja uznała za obrazę art. 96 praw zasadniczych i z tego powodu wniosła interpelację.

Według dosłownego brzmienia tego artykułu „przepisy służbowe, techniczne i gospodarcze oraz wskazania i instrukcje dla instytucji i urzędów wojskowych i marynarki, po ich rozważeniu przez Rady wojny i admiralicji składają się bezpośrednio do uznania Cesarza, jeżeli te przepisy, wskazówki i instrukcje stosują się jedynie do spraw wojskowych, nie tyczą się ustaw ogólnych i nie pociągają nowych wydatków skarbu, o ile te nie dają się pokryć przez oszczędności budżetu wojny i marynarki. Jeżeli takie pokrycie jest niemożliwe, wspomniane przepisy, wskazania i instrukcje składają się do uznania Najwyższego tylko po uzyskaniu własnych kredytów w drodze ustawodawczej".

Na początku ubiegłego roku wniesiony został do izby państwowej projekt, dotyczący nowych etatów marynarki, cofnięto go wszakże stamtąd, poczym pozyskał on zatwierdzenie, zgodnie z wydanymi jednocześnie przepisami, które nowe etaty wojskowe wyłączyły z pod kompetencji Izby państwowej.

Interpelacja z tego powodu dała powód do bardzo ożywionej dyskusji, a nawet sprowadziła do Izby niewidzianego tam od ośmiu miesięcy p. Stołypina. I znowu powróciło pytanie, poruszone niegdyś przez p. Kokowcewa, czy w Rosji jest konstytucja, czy jej niema, pytanie, które stale dzieli Dumę rosyjską na dwie nierówne połowy: lewicę i po części centrum, które chcą konstytucji i twierdzą, że ona istnieje, oraz prawicę, która nie chce jej i widzi w Rosji ustrój absolutystyczno-konstytucyjny, czyli dziwoląg, mieszaninę sprzeczności, niemożliwych do pogodzenia.

A jednak powtórzył to znowu Połowcew, wbrew świetnym wywodom Milukowa i Pokrowskiego 2-go, a nie zaprzeczył temu p. Stołypin.

Nie powiedział on zresztą nic o istniejącym ustroju, nie nazwał go ani tak, ani inaczej, miał zaś na celu tylko zapewnienie Dumy, że rząd bynajmniej nie myśli o uszczupleniu jej praw. To też pomimo powściągliwości prezesa ministrów, pomimo to, że mowa jego pozostawiła wrażenie czegoś nieokreślonego i niedopowiedzianego, prasa rosyjska uznała ją za oświadczenie programowe, a *Riecz* dopatruje się w niej oznak ponownego porozumienia pomiędzy rządem a październikowcami, przypuszczając zresztą, że nie za darmo zapewne otrzymało centrum takie zdania, jak „1,0 wspólnej pracy rządu i izb prawodawczych", obietnice, a raczej nie obietnice, tylko „nadzieje", że „w miarę wymierania rewolucji, znikać będą i ograniczenia w korzystaniu przez społeczeństwo z nadanych mu praw", jedynie realne wreszcie w mowie zapewnienia, że „cała Rosja jest niezadowolona" i że „w dziedzinie rządu zdarzać się mogą pomyłki, nadużycia i przekroczenia władzy".

I centrum, według tegoż organu, już płaci za oświadczenia p. Stołypina, za pośrednictwem komisji obrony państwowej, która wyrzeka się, zgodnie z poglądami prezesa ministrów, wszelkiego wpływu nietylko na organizację armji, pozostawioną, wedle praw

zasadniczych wyłącznie władzy Naczelnego Wodza, ale i na prawodawstwo wojskowe w ogóle, co jest niezgodne z art. 14 praw zasadniczych. W ten sposób październikowcy wraz z prezesem ministrów, oponując przeciwko interpelacji, bronią tego samego punktu widzenia, którego bronili przeciwko nim przed rokiem hr. Witte i Durnowo. Październikowcy zatym, a więc i większość Izby, dla zachowania jej, zgadza się na uszczuplenie jej praw nietylko faktyczne, ale i formalne, prawne.

Opozycja, z którą się spotkały przepisy z d. 24 sierpnia r. z., już dziś znacznie osłabła, a październikowcy ją opuścili za garść mglistych frazesów, rzuconych przez p. Stołypina.

Pan prezes „ma nadzieję", p. Guczkow „czeka", a Pokrowskij 2-gi konstatuje, że złudzenia konstytucyjne coraz bardziej giną, a pozostaje tylko czarna rzeczywistość, wielki naród rosyjski jednak potrafi wyprowadzić z tego właściwe wnioski.

Rozprawa obecna nad interpelacją ma więc doniosłe znaczenie z tego względu, że nie ubocznie, ale wprost ukazuje stanowisko prawno-państwowe wpływowych żywiołów rosyjskich, a rezultat rozpraw, dotyczących pierwszorzędnego zagadnienia konstytucyjnego, t. j. przyjęcie lub odrzucenie interpelacji, stwierdzi wyraźnie, czy większość Dumy poszła naprzód, czy też cofnęła się w swym pragnieniu zdobycia swobód i gwarancji konstytucyjnych.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jak zwykle bywa w gwarze codziennym tygodnia politycznego, przed nami przesuwa się zmienny kalejdoskop wydarzeń, których żywot da się mierzyć skalą dni paru, a nawet jednego...

A zatym obłąkaniec jakiś usiłował dokonać zamachu na prezydenta Brianda! Rzecz należy nadewszystko do zakresu psychjatrów, a może suggestji miłosnej, w głębi bowiem ukrywa się nieodszukana dama.

Roosevelt zamierza wystąpić z projektem pożytecznym i pożądanym ograniczenia powszechnego uzbrojeń. Ale zanim rzecz będzie wniesiona pod obrady konferencji międzynarodowej, poszukuje dla swego pomysłu ojców chrzestnych. Wzrok jego spoczął podobno na — Wilhelmie II. Można żywić nadzieję, iż ten ojciec chrzestny skręci kark bękartowi idei humanitarnej.

W rozgardjaszu waśni i ruchawek, które są nieodłączne od półwyspu bałkańskiego, stosunki pomiędzy Albańczykami a rządem tureckim ulegają coraz większemu zaognieniu. Zatarg to dawny, sięgający tych czasów, gdy przedstawiciele dzisiejsi rządu tureckiego walczyli o konstytucję, zbrojne zaś oddziały pretorjanów albańskich dotrzymywały wiary staremu porządkowi rzeczy. Ale role zmieniły się od tego czasu: ci co uchodzili za jedną z podpór wstecznictwa, wystąpili dzisiaj w obronie haseł ku lepszej przyszłości prowadzących, rzecznicy zaś zasad konstytucyjnych wzięli na siebie obowiązek oprawców wolności. Objąwszy ster rządów, jęli się powściągania ruchów autonomicznych i między innymi zaczęli zmuszać Albańczyków do rozstania się z alfabetem łacińskim. Sprawa była podrzędną, ale niebawem przybrała rozmiary poważniejsze: pod hasłem „najpierw szkoły albańskie, a później podatki" wszczyna się w Albanji ruchawka, która w miarę trwania swego wysuwa wymaganie coraz poważniejsze, aż wreszcie dzisiaj jest rzeczą aż nazbyt widoczną, iż mamy tu do czynienia z ocknięciem się, a raczej poczęciem poczucia narodowego wśród górali Albanji, którzy dotychczas umieli tylko urządzać wyprawy zbójeckie i dostarczać zbrojnych zbirów kamarylli konstantynopolitańskiej. Chodzi najpierw o wykład w szkołach w języku albańskim, o prawo do stowarzyszeń, wreszcie o ugruntowanie samorządu. Ruchawka albańska od lat paru podnosi głowę wraz z słońcem wiosennym. Zdławiona ku jesieni zarówno środkami barbarzyńskimi, które tworzą podstawę „kodeksów" wojennych w stosunku do rokoszan a jeszcze bardziej zwiastunami zimy, wszczyna się znowu. Obecnie podobno około 20,000 Albańczyków jest pod bronią.

A w głębi tego zmiennego kalejdoskopu dwie sprawy poważne, które są wyrazem parcia żywiołowego Europy nowoczesnej ku coraz większej demokratyzacji stosunków społecznych.

Jedna: zatarg pomiędzy rządem angielskim, a właściwie obozem liberalnym, i Izbą lordów.

Druga: sprawa reformy prawa wyborczego do sejmu pruskiego.

Izba gmin w Anglji przyjęła w bieżącym tygodniu politycznym dwie uchwały. Jedna z nich ogranicza sesję parlamentarną do lat 5 — reforma, która oddawna wypisana jest na sztandarze żywiołów radykalniejszych angielskich. Druga dotyczy ograniczenia prawa veto, przysługującego Izbie lordów w stosunku do bilów, przyjętych przez Izbę gmin. Asquith w mowie swojej zapowiedział stanowczą walkę lordom: gdyby Izba wyższa odrzuciła uchwałę co do veta, rząd niezwłocznie zwróci się do Korony z prośbą o przedsięwzięcie środków, które koniecznymi będą do nadania mocy prawnej projektowi rządowemu, a gdy to nie wydałoby skutku, rząd albo rozwiąże izbę albo poda się do dymisji. A tymczasem nim dojdzie do walki stanowczej, na powierzchni życia wypływają pomysły rozmaite, pragnące uratować jaknajwięcej z przestarzałych prerogatyw arystokracji rodowej lub jaknajwięcej z nich uszczknąć. W liczbie tych pomysłów zasługuje na uwagę, ze względu na swego twórcę, projekt lorda Rosebery. Przyszła izba lordów będzie się składała: 1) z pewnej liczby członków wybieranych przez całe społeczeństwo, ale z pośród lordów, tak samo z pewnej liczby wychodzących z pomiędzy nich osób ale na mocy wyboru w ich własnym łonie, wreszcie z osób mianowanych przez koronę. 2) z osób zasiadających w Izbie na mocy swojego stanowiska urzędowego, 3) z osób, wybranych z pośród nie lordów.

Bodaj jeszcze donioślejszymi są obrady, toczące się w sejmie pruskim w sprawie „reformy" prawa wyborczego pruskiego. Zdaje się, iż losy projektu kompromisowego, który sklecono w komisji, są zapewnione. Junkrzy pruscy idą zwartą ławą z przedstawicielami centrum katolickiego: dla tamtych już te ustępstwa drobne, których rząd pruski dokonał, są solą w oku, bo zwiastują kres częściowy ich wszechwładztwa, dla tych jest to powierzanie swojej łodzi partyjnej niepewnej fali morza robotniczego. Podczas obrad w tygodniu ostatnim usiłowano zdławić nawet swobodę mównicy sejmowej, a nawet dopięto tego, a protesty demokratów społecznych pozostały głosami wołającymi na puszczy. Zdołali jedynie zaopatrzeć postępowanie większości sejmowej należytym wyrazem: komedji i zbrodni. Koło polskie, które po niewczasie zrozumiało szkody, wynikające dla sprawy polskiej z ustawy wyborczej trójklasowej, szło w jednym ordynku z stronnictwami, żądającymi zmian większych. „Uczucia i interesy ludności polskiej domagają się zgoła innej reformy niż ta, którą sejmowi przedłożono" (poseł Jażdżewski). Szkoda, że w ciągu tylu lat Koło polskie nie pamiętało o tych uczuciach i interesach! Obecnie projekt oczekuje trzeciego czytania i kwarantanny z ceremonją obrzezania może w izbie panów.

Gdy miną te obrzędy wszystkie, szczegółowiej zatrzymamy się nad dokonaną reformą, która ma taką doniosłość zarówno dla Polaków, jak i dla całej Rzeszy niemieckiej, acz rzecz jest z pozoru rdzennie pruska, a bodaj nawet hohenzollernsko-junkierska. Sprawa reformy jednak wydała skutki nieoczekiwane: rzesze pracujące Berlina poszły przebojem w kierunku zdobycia prawa do wieców pod otwartym niebem. Pierwsze wiece były przemycane, co nie przeszkadzało im być tłumnymi. Aż wreszcie w d. 10 kwietnia władze ustąpiły i dały przyzwolenie na nie. W samym Berlinie odbyły się trzy mityngi (paręset tysięcy osób).

Jerzy Sorel jako teoretyk syndykalizmu.

Trudno dziś znaleźć pisarza, któryby w pracach swych poruszał tyle zagadnień z najróżnorodniejszych dziedzin nauki, sztuki, filozofji, polityki i życia— co Sorel. Jest pod tym względem bardzo podobny do Proudhona. Ale i pod innymi względami jeszcze odnaleźć można pokrewieństwo duchowe między tymi pisarzami. Zarówno jeden jak i drugi odznaczają się chaotycznością umysłową, dyletantyzmem w rozmaitych dziedzinach wiedzy, dużą zarozumiałością i brakiem konsekwencji. Proudhon był jednak niezawodnie umysłem samodzielniejszym od Sorela.

Nie mogę tu pisać całego studjum o Sorelu, rozpatrywać wszystkich ważniejszych jego poglądów z rozmaitych dziedzin wiedzy, nie tylko dlatego, że nie uważam się za specjalistę od wszystkiego, lecz także i z tego względu, że często, omawiając różne zagadnienia, powtarza on poprostu najważniejsze twierdzenia za innymi. W filozofji mistrzem jego jest modny obecnie Bergson [1]), w ekonomji politycznej — włoski pisarz Pareto i t. d.

W artykule niniejszym traktować będę Sorela głównie jako teoretyka syndykalizmu, zwracając szczególną uwagę na jego własne, najbardziej charakterystyczne poglądy.

Nadmienić tu muszę, że Sorel niejednokrotnie zmieniał poglądy, i że nigdy nie starał się ich ująć w jednolity światopogląd.

Sorel pisze bardzo dużo i rozwlekle, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, omawiając, przy sposobności przeczytane przez siebie książki; nie lubi wyrażać się jasno, sądząc, że mglistość myśli idzie w parze z jej głębokości i że oznacza mozolne drogi poszukiwania prawdy.

Pogląd powyższy wypowiedział wyraźnie w jednym z artykułów krytycznych (w Mouvem. Soc. z 1908 r.)

Sorel, jako pisarz, zaczął swą karjerę od ortodoksalnego marksizmu, od którego się później odstrychnął, albo jeżeli kto woli, usiłował poprawić, żeby uczynić go jeszcze bardziej „ortodoksalnym".

Z pośród innych pisarzy wymienić należy Renana, który silnie na niego oddziałał. Sorel cytuje go często z widocznym upodobaniem, lubi jego aforyzmy i dzieli z nim wiele upodobań umysłowych, czerpiąc z jego dzieł całymi garściami fakty i pomysły, czego zresztą nie ukrywa.

Sorel uzasadnia w swych dziełach wszystkie podstawowe postulaty współczesnego francuskiego syndykalizmu rewolucyjnego. Sądzi, że klasa robotnicza organizować się powinna wyłącznie na gruncie ekonomicznym, że walka polityczna we wszystkich formach nie tylko nie przynosi jej korzyści, lecz szkodzi, gdyż odciąga od bezpośredniej walki klasowej, i wprowadza na drogę niebezpiecznych kompromisów z burżuazją; że organizacja partyjno-polityczna, jaką tworzą stronnictwa socjalistyczne, nie odpowiada interesom proletarjatu, gdyż zapewnia przewagę karjerowiczom politycznym, prowadzącym w gruncie rzeczy politykę burżuazyjną; że klasa robotnicza powinna się skupić w związkach zawodowych, syndykatach i giełdach pracy, które mogą uczynić zadość wszystkim jej potrzebom ekonomicznym, umysłowym i kulturalno-społecznym, czyniąc państwo instytucją zbyteczną; że idea ojczyzny jest fikcją burżuazyjną, którą posługuje się państwo w swych celach wrogich klasie robotniczej; że strejki, zwłaszcza zaś strejk powszechny, prowadzą do ostatecznego wyzwolenia proletarjatu.

Nie mogę poddawać wyczerpującej krytyce powyższych postulatów; zrobiłem to zresztą na innym miejscu [2]); poprzestanę tylko na kilku uwagach.

Syndykaliści nie rozumieją tego, że klasa robotnicza w całości, a nie jej arystokracja tylko nie może za pomocą własnych tylko środków w syndykatach i giełdach pracy stworzyć warunków swego wszechstronnego rozwoju, że więc pomoc państwa jest dla niej konieczna. Walka polityczna utrwala i uogólnia zdobycze klasy robotniczej, dokonane sporadycznie w szeregu drobnych codziennych starć z kapitalistami. Klasa robotnicza, jak każda inna powstaje i rozwija się na tle określonych stosunków narodowościowo-kulturalnych, których ukształtowanie nie może być dla niej obojętne.

Intensywność kultury narodowej, swobodny jej rozwój, zabezpieczenie jej przed wszelkimi możliwymi zamachami konieczne są do rozwoju klasy robotniczej. Wszystko to wymaga odpowiednich instytucji politycznych, związanych z państwowością, mogących przyjmować rozmaite formy.

Syndykaliści francuscy idą tak daleko w swych antypatrjotycznych tendencjach, że godzą się z Herwém w jego skrajnym antymilitaryzmie, sądzą, że nawet w razie wojny Niemiec z Francją powinniby dezorganizować armję francuską. Gdyby Niemcy zdobyli Francję i zaprowadzili swe porządki, wybuchnęłaby rewolucja socjalna, którąby zniosła państwo i obecny ustrój. Przeoczają ten fakt, że Niemcy, zdobywszy Francję, po zdezorganizowaniu jej armji usadowiliby się w niej silnie i może upłynęłoby dużo czasu, zanimby lud mógł się zdobyć na taki ruch, o jakim marzą syndykaliści.

Sorel jest w zgodzie z powyższymi poglądami syndykalistów. Niezależnie jednak od tych teorji, które łączą go z nimi, wygłasza i uzasadnia szereg innych, które, że tak powiem, stanowią jego specjalność.

Punktem wyjścia pomysłów Sorela, dotyczących socjalizmu jest krytyka marksizmu, rozwijana w rozmaitych artykułach i większych pracach [3]), w znacznym stopniu streszczona w broszurze p. t. „La Décomposition du Marxisme". Idąc śladem Bersteina, rozróżnia w teorji autora „Kapitału" — pierwiastki ściśle naukowe, dotyczące rozwoju społecznego, jego mechanizmu, formy, oraz pierwiastki nienaukowe „bhankistowskie", będące wynikiem tradycji rewolucyjnej.

Sorel uważa w ogóle za utopję wszelkie próby reorganizacji społecznej, oparte na pewnym określonym planie, wykraczające po za ogólnikowe skonstatowanie tendencji społecznego rozwoju.

---

[1]) O filozofji Bergsona *Prawda* zamieści studjum napisane przez kogo innego.

[2]) Nowy kierunek w socjalizmie europejskim 190) r. Współczesny syndykalizm rewolucyjny, Krytyka 1909 r.

[3]) Najważniejsze prace Sorela są następujące: L'avenir socialiste des syndicats, L'introduction à l'économie moderne, Reflexion sur la violence, La ruine du monde antique, L'Eglise et l'Etat, Les Illusions du progrès, La décomposition du marxisme. Wreszcie zarysy współczesnego kapitalizmu po włosku i po rosyjsku.

Zdaniem jego nie należy zupełnie suszyć sobie głowy nad przyszłym ustrojem, gdyż sama praktyka rozstrzygnie trudności. Już dziś nawet wiele z tych zagadnień rozwiązanych zostało przez samorzutny rozwój kapitalizmu. Na poparcie tego twierdzenia przytacza fakt, że sprawa wewnętrznej organizacji fabryki była dawniej bardzo trudna, gdyż wieki średnie pozostawiły w spadku po sobie obyczaje pełne brutalności, a jednak sama praktyka przemysłowa doprowadziła do nowych obyczajów, wyrobienia u robotników poczucia porządku i karności [4]).

Rozumowanie powyższe jest wysoce naiwne, pomija bowiem dwie okoliczności: 1) że zarówno w warsztatach średniowiecznych, jak i w fabrykach istniały zawsze pewne przepisy, a więc czynnik planowego kształtowania istniejących w nich stosnków odgrywał poważną rolę; 2) że ułożenie się nowych stosunków w fabrykach miało przebieg bardzo gwałtowny i było wynikiem walk brutalnych i niezliczonych starć, które kosztowały wiele życia ludzkiego. Ci wszyscy więc, którzy myślą o tym aby przy wprowadzaniu nowych urządzeń społecznych posługiwać się metodami najbardziej celowymi, któreby oszczędzały ludzkości cierpień i rozczarowań — nie są zbyteczni, lecz pożądani.

Oczywiście można tworzyć plany utopijne, dotyczące przyszłych stosunków społecznych, posługując się więcej fantazją niż doświadczeniem, upodobaniami objektywnymi niż metodą, biorącą za punkt wyjścia tendencję społecznego rozwoju i budując na nich gmach przyszłości. Dla Sorela rozróżnienia te jednak nie istnieją wcale.

Marksa chwali bardzo za to, że w pismach swych powstrzymał się od skreślenia, choćby w formach ogólnych przyszłych urządzeń społecznych (w ustroju socjalistycznym). Wyśmiewa też tych, co żądają, żeby socjalizm wytworzył koncepcje prawne dotyczące przyszłego ustroju. Nie może zrozumieć, że za czasów Marksa, zwłaszcza kiedy wraz z Engelsem pisał Manifest komunistyczny — wszelkie szczegółowsze opracowywanie planów ustroju socjalistycznego było zbyteczne, gdyż epoka walki bezpośredniej o nowe formy życia zbiorowego była jeszcze bardzo daleko.

Obecnie jednak znajdujemy się w innym położeniu. Dla socjalistów działających w krajach najwyższego rozwoju życia ekonomicznego i politycznego zagadnienia te mają już ogromne znaczenie.

Sorel w ogóle nie lubi prawa jako nauki, gdyż, zdaniem jego, posiada ono cechy zbytniej stałości, przyjmując formy ściśle ustalone w przeciwstawieniu do bystrych fal rozwijającego się życia ekonomicznego. Jest zdaniem jego bezwładne w stosunku do nich.

Pogląd ten jest wysoce naiwny: istotnie stosunkowa stałość pewnych form czynności i instytucji nie da się uniknąć. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej ruchomego w naszej epoce jak technika; wszak ciągle jesteśmy świadkami szybko po sobie następujących wynalazków, które, udoskonalając istniejące w pewnym czasie maszyny i tworząc nowe — czynią dawniejsze nieużytecznymi. Z faktu tego jednak nikt nie wyprowadza wniosku, że nie należy budować maszyn, posiadających formy stałe i posługiwać się nimi, gdyż nowe wynalazki uczynią je niezdatnymi.

To samo dzieje się z prawem, które, posiadając tendencję do utrwalania pewnych norm, jest zazwyczaj dość giętkie, żeby przystosowywać się do nowych objawów w życiu społecznym i które może być zresztą i bywa świadomie zmieniane, kiedy się okazuje niedogodnym. Sorel lekceważy wszelkie szczegółowe, ujęte w formę praw pisanych formułowanie potrzeb i odpowiadających im urządzeń społecznych.

Szkoda, że nie zna prac Bauera i Rennera, dotyczących kwestji narodowościowych, przekonałby się wówczas może, jakie ważne znaczenie dla ruchu mieć mogą dociekania tego rodzaju [5]).

Będąc zdecydowanym przeciwnikiem państwa w przyszłości i dziś, — Sorel nie probuje nawet dowieść, że można się będzie bez niego obejść całkowicie. Kwestja sposobu zorganizowanej produkcji społecznej w przyszłości, sprawa wymiany czy podziału produktów i inne tego rodzaju zagadnienia nie zajmują go zupełnie.

Odrzucając w zasadzie wszelkie próby sformułowania przyszłych stosunków społecznych, wszelkie dociekania dotyczące tego, co będzie później—w imię „nauki" — Sorel jest jak zawsze niekonsekwentny, gdyż zarazem kategorycznie wypowiada się przeciwko państwu, prawu, dążeniu do objęcia władzy w epoce przejściowej przez zwolenników przewrotu społecznego i t. p.

Jedno z dwojga: albo uznaje się wogóle dociekania dotyczące przyszłości dalszej za jałowe i nienaukowe, i nie mówi się o niej, poprzestając na analizie teraźniejszości; albo też uważa się za pożyteczne i możliwe i rozpatruje się różne jej strony.

Sorel jednak w praktyce nie stoi na żadnym z powyższych stanowisk; kiedy chodzi o zwalczanie znienawidzonych przez niego instytucji, wówczas uważa, że „naukowo" można mówić o przyszłości dalszej, negując ich potrzebę; kiedy zaś chodzi o inne zagadnienia dotyczące tejże przyszłości — uchyla się od ich rozbioru, uważając, że nie można ich „naukowo" traktować.

(d. n.). *Ludwik Kulczycki.*

Sądy dla małoletnich.

Wolne od krępującej tradycji, rozwija się w Stanach Zjednoczonych młode społeczeństwo i wprowadza ciągle w życie do rdzenia złego sięgające zmiany. Każdy Stan w Ameryce rządzi się autonomicznie, raz w roku jednak zjeżdżają się delegaci wszystkich Stanów, pytania krzyżują się, rezultaty prac są porównywane, a na mocy zdobytych doświadczeń i wypróbowanych rezultatów wyrastają nowe prawa.

Owocem bezpośrednim tych zjazdów jest organizacja Sądów młodzieży (juvenile court), wyrosła na gruncie świadomości ogółu, że należy powoli i stopniowo przekształcić, tak dziś modną, filantropję na wielkie dzieło wychowawcze narodu. Mechanizm sądów jest prosty, treścią jego dalsze wychowanie: szkolnictwo, zakłady poprawcze i sądy dla małoletnich, to w Ameryce jeden szereg instytucji dopełniających się wzajemnie.

Pierwsze prawo, które w Stanach wprowadziło sąd oddzielny dla młodzieży, urzeczywistniono w stanie Illinois, dzięki poparciu towarzystwa opieki nad dziećmi w Chicago. Ponieważ do tego czasu nie było specjalnych rozporządzeń prawnych co do występnych dzieci, 10 letnie dziecko w publicznym więzieniu aż nazbyt częstym bywało gościem. Pierwszym, który sporządził projekt nowego prawa, (zyskało ono moc obowiązującą w 1899 r.) był sędzia Harvey Hued, a treść tego prawa stanowią następujące paragrafy.

1) Prawo zajmuje się dziećmi poniżej lat 16-tu i odróżnia w postępowaniu swym dzieci zaniedbane i opuszczone od występnych. Za zaniedbane, lub opuszczone prawo uważa każde dziecko, które, nie mając domu, ani opieki rodzicielskiej, korzysta z jałmużny publicznej, żebrze, mieszka przy ludziach podejrzanych, w domach gry lub rozpusty, następnie dziecko, które z dowodu nieszczęśliwych warunków

[4]) La Decomposition du Marxisme st. 40 i 41.

[5]) Można podzielać, albo nie poglądy tych autorów, trzeba jednak uznać doniosłość ich prac.

rodzinnych, lub złego obchodzenia się ze strony rodziców i opiekunów, nie mieszka w domu, tuła się po ulicy, śpiewa, tańczy, bierze udział w przedstawieniach i jest wyzyskiwane przez różnych aferzystów.

Za występne — prawo uważa dziecko, które popełniło czyn zbrodniczy, świadomie przebywa w złym towarzystwie, dziecko, które wyrosło pośród zbrodni i chętnie przebywa w domach gry i rozpusty.

2) Posiedzenia sądu odbywają się w oddzielnym budynku, i jeden z sędziów krajowych zostaje wydelegowanym do prowadzenia spraw. Każdej osobie, sprawy dziecka świadomej, lub znającej jakiekolwiek szczegóły z jego życia, wolno złożyć sądowi piśmienne zeznania, sąd zaś obowiązany jest w ciągu 24 godzin wezwać dziecko wraz z opiekunami, w razie zaś oporu, zmusić ich do stawienia się. Sprawa dziecka rozstrzyga się szybko, jednocześnie decyduje się dalsze jego pomieszczenie.

3) Sąd mianuje szereg osób zaufanych opiekunami. Obowiązkiem opiekunów jest szybkie i dokładne sprawdzanie otoczenia i warunków dziecka, oraz zbadanie poprzedniego jego życia. W tym celu każdy opiekun informuje się u pisarza sądowego, jakie sprawy będą na porządku dziennym, zbiera potrzebne informacje, jest obecny podczas sprawy, w interesie dziecka przytacza wszystkie okoliczności łagodzące i zajmuje się dzieckiem przed i po sprawie, aż do czasu umieszczenia go przez sąd.

4) Jeżeli chodzi o dziecko występne, sąd ma prawo postąpić rozmaicie. Zważywszy motywy czynu, może 1) pozostawić dziecko u rodziców; 2) umieścić je w prywatnej rodzinie, zawsze pod czujnym okiem opiekuna, wreszcie 3) umieścić je w szkole (poprawczej) prywatnej lub publicznej, lub w specjalnym zakładzie dla występnych dzieci. Praca sądu nie kończy się jednak z powzięciem pierwszej decyzji, przez długie lata dziecko pozostaje pod dozorem sądu, od czasu do czasu zostaje wezwane, a gdy postępowanie jego wykazuje korzystne zmiany, w mocy tegoż sądu leży zmienić zakład na inny, lub pozwolić na czasową próbę swobody.

Tyle żąda prawo — czyżby jednak pozostało czymś więcej niż martwą literą, gdyby nie siły społeczne, które w Ameryce tak wspaniałym świecą przykładem! Sądy młodzieży wzbudziły zapał wśród ludności Stanów Zjednoczonych poruszyły sumienia i wstępnym bojem zdobyły serca, gotowe nieść w ofierze pomoc swą i pracę. I pospieszyli ofiarować ją w pierwszym rzędzie opiekunowie przysięgli, ludzie pochodzący ze wszystkich sfer towarzyskich, którzy pracują najczęściej bezinteresownie. A Europa ze zdumieniem i w najwyższym napięciu śledziła rezultaty owych zabiegów; zwolna i ostrożnie poczęły powstawać podobne sądy.

Ostatni wykaz Stanów Zjednoczonych z 1909 r. przytacza 23 Stany, które dziś już własne posiadają sądy; celem zaś ich jest ratowanie dzieci przed zagładą więzienia i wytworzenie dla nich zdrowych i normalnych warunków życia, czy to wśród rodzin prywatnych, czy w szkołach, czy też we wzorowo urządzonych zakładach poprawczych.

Starania o rozwój młodzieży i o reformę prawa karnego w zastosowaniu do młodzieży, to dziś już nie — dwie sprawy, oddzielne, ale jedna, ściśle związana ze zdrowiem moralnym i siłą narodów. Stanowi ona pierwsze hasło kultury nowożytnej, pierwszy szczebel na drodze postępu.

R. Lindenbergowa.

NA DOBIE.

Dobrze nam było.

Sezon tegoroczny na Rivierze był znowu polski i znowu świetny. Szykiem, roznoszeniem wesołości szczęśliwego nad Wisłą narodu, a zwłaszcza rozrzutnością zaćmiewaliśmy wszystkie nacje, a jeżeli nie podbijaliśmy kopyt końskich złotymi podkowami, to tylko dlatego, że nie mieliśmy gdzie wjeżdżać w uroczystym orszaku. Ale zato graliśmy od rana do wieczora wszędzie, gdzie tylko był elegancki klub, stolik karciany lub ruleta. Niektórzy z nas — spadkobiercy imion historycznych i wielkich fortun, zjadacze ogromnych dochodów, bankierzy, przemysłowcy — trzymali nawet bank i kierowali hazardem. Stosy złota przesuwały się z rąk do rąk, jak kupki piasku, a zdobywaliśmy je lub tracili bez radości i smutku, bez wzruszenia, jak przystało na dumnych panów świata, gardzących marnym kruszcem, wyciśniętym z podłych rąk niewolników. Bo przecie nam nie chodziło o zyskanie go — niech on rozpala żądze biedaków, zdychających z głodu lub społeczeństwa, marzącego o zatykaniu dziur swego życia — my chcieliśmy tylko łaskotać nasze znieczulone nerwy. I to nam się udało. A przytym odpoczęliśmy nieco od kwestarskich napaści na nasze kieszenie. Przez kilka tygodni lub miesięcy nie słyszeliśmy zabójczego skrzeku i jęku, nie widzieliśmy wyciągniętych rąk żebraczych, pompiarzy i pompiarek filantropijnych, wypraszanych i wypędzanych a jednak ciągle zjawiających się z biletami, z listami składek i innymi pijawkami. Tu człowiek był pewny, że po otworzeniu oczu nie ujrzy przed sobą żadnego upiora, że wstanie swobodny, zadowolony, pójdzie do kasyna, gdzie przegra lub wygra 100, 1,000 lub 100,000 franków, których mu nie wydrą „cele społeczne". Dobrze nam było...

Odlot ptaków roboczych.

Tak im dobrze pod pańsko-księżą opieką, tacy są nakarmieni, odziani, szczęśliwi, tak spokojni o zbawienie wieczne, że już uciekają w świat na cztery strony świata, bo nawet na Syberję. Rozumie się, że chodzi im wyłącznie o przyjemności turystyczne. Mając Towarzystwo Emigracyjne, którym rządzić będą dobroczyńcy, potrzebujący dużo pracowitych ciał i pobożnych dusz; słuchając co niedziela cudnych wymysłów z ambony na gorszycieli, którzy są tak niegodziwi, że chcą ciemnych prostaczków nauczyć nieco jaśniej myśleć, uczciwiej żyć i rozumniej pracować—mogą nie troszczyć się o widma nędzy, które im natrętnie zastępują drogę. Ale przejechać się do Niemiec, Francji, Ameryki północnej lub południowej, do Syberji wschodniej — miło i pożytecznie. Więc lecą gromadami — może nie dla rozrywki? Według *Czasu* w połowie marca przejeżdżało przez Kraków na dobę do 13 osobnych pociągów, które przewiozły około 30,000 robotników w ciągu czterech dni. Ścigają się oni za pracą w przekonaniu, że im wcześniej przyjadą do Mysłowic, tym prędzej dostaną zajęcie. Mylą się, bo pośrednicy wybierają najlepszy materjał roboczy na tym targowisku ludzkim, a reszcie każą czekać po kilkanaście dni, wiedząc, że gdy się wygłodzą i stracą nadzieję zdobycia pracy, przyjmą wszelką na najgorszych warunkach. Że śród tych gromad odsłaniają się obrazy piekła ziemi — zgadnąć łatwo. A nasz dziedzic we dworze, nasz proboszcz na plebanji, nasi dziennikarscy naganiacze chłopów dla obu tych opiekunów, patrząc na to widowisko, mówią: Sami sobie winni! Gdyby nie chcieli być mądrzy, gdyby jeszcze niżej się kłaniali, gdyby jeszcze mniej brali za robotę a więcej płacili za pogrzeby i śluby — nie potrzebowaliby emigrować. Tak?

Nieszczęście.

Stał się wypadek okropny, bolesny, przeszywający nawskroś nasze obywatelskie serce. Tego jeszcze nam brakowało! Do tylu ran przybyła może najgłębsza, do tylu strat — najdotkliwsza, do tylu rozczarowań — najbardziej druzgoczące! Zdawało się, że okrutny los wbił w nas wszystkie swe szpony — tymczasem znalazł się jeszcze jeden, niedojrzany i nieoczekiwany a straszny. Pióro się cofa przed doniesieniem wstrząsającej wiadomości. Oto majątek ziemski Myszewko został sprzedany na rozkolonizowanie między włościan... wyznających marjawityzm. Większość prasy warszawskiej przywdziała grubą żałobę i wydała głośne jęki. Ale bo też jest nad czym płakać! Gdy ziemia nasza przechodzi w ręce obcych przybyszów lub spekulantów, jest to smutne, ale do zniesienia możliwe. Gdy wszakże nabywa ją lud polski nieprawowiernego obrządku, trzeba rozedrzeć szaty, paść na ziemię i tarzając się w prochu wołać: Boże, Boże, za co nas tak karzesz! Czemuż — jak narzeka jedno z pism — nie zdążyła zapobiec nieszczęściu „akcja ratunkowa okolicznych ziemian i duchowieństwa?!" Uważacie: my podejmujemy akcję ratunkową przeciwko chłopom polskim, kupującym swoją ziemię! Narodowo, demokratycznie, a przytym uczciwie i mądrze!

Dyskonter fałszu.

Redaktor *Dziennika Powszechnego*, tak zwany ksiądz „kanonik" Skimborowicz... Mówimy: tak zwany, gdyż dotychczas mniemano, że kanonik jest to człowiek poważny, dbały o swoją godność, który może być nawet fanatykiem, ale nie może być łobuzem, napastnikiem, oszczercą. Otóż tak zwany kanonik Skimborowicz do różańca licznych przymiotów kapłana i moralizatora publicznego: do kłamstwa, potwarzy, brutalnych wymysłów, dołączył nową paciorkę — dyskonto fałszerstw dziennikarskich. W Nr. 102 swego czarno - secinnego pisma pomieścił korespondencję z Mińska, w której znajduje się taki ustęp: „Zwróćmy się nieco wstecz. A więc do roku 1885—1888, t. j. do czasu, w którym *Prawda* p. Świętochowskiego stała u szczytu sławy i popularności. Wówczas wielki mistrz postępu i pozytywizmu nakreślił *w którymś* z numerów swego pisma artykuł p. t. „Powrotna fala" *(o ile się nie mylę)* i przeprowadził tam myśl taką: Wskutek ucisku wyznania katolickiego przez kurs rządowy, w społeczeństwie daje się zauważyć ruch powrotny ku rozbudzeniu uczuć katolickich. Jest to objaw smutny z punktu widzenia nauki pozytywistycznej, ale naturalny wobec biegu wypadków. I w rezultacie staje się, że *„kto znikczemniał, musi stanąć dziś pod sztandarem Wiary"*. Przedewszystkim zwracamy uwagę na zabiegi ostrożności fałszerza: powołuje on się na artykuł pomieszczony „w którymś numerze", między rokiem 1885 a 1888 i zastrzega: „jeśli się mylę": następnie przedstawia myśl tego artykułu tak, jak gdyby autor twierdził, że skutkiem „ucisku wyznania katolickiego przez kurs rządowy", naturalnie rosyjski, kto nie znikczemniał, stanął „pod sztandarem *Wiary*". Otóż zobaczmy, co naciągnął na swe kopyto nasz Aleksiejew.

W Nr. 18 *Prawdy* z r. 1885 rozwinięta została myśl, że prześladowanie katolików w Niemczech przez Bismarka za pomocą praw majowych wzmocniło wszędzie ruch reakcyjny, przeniosło Europę w średnie wieki, u nas zaś „meduza ciemnoty, przywileju, nietolerancji, wsteczności potrąca zuchwale wężowymi splotami na swej głowie". Wywód zakończony został następującymi słowami: „Potomni za te usługi nie podziękują Bismarkowi, ale następcy Leona XIII—niewątpliwie. Prześladowania katolików uratowały papiestwo, przywróciły mu straconą potęgę, bo dziś, kto nie znikczemniał, staje pod znakiem *ofiar gwałtu*". Jak widzimy fałszerz przemilczał o kim i o czym mówiono, o jakim rządzie i o jakim ucisku a zamiast wyrazów „ofiary gwałtu" wstawił „Wiarę"—i przerobione zdanie przytoczył w cudzysłowie. Tak polemizują księża, kanonicy, stróże przykazania o fałszywym świadectwie, wogóle apostołowie moralności, którzy się chełpią, że szczepią uczciwość, prawdomówność i szlachetne uczucia. Czyby raczej nie należało stworzyć przysłowia: kłamie jak ksiądz Skimborowicz z Warszawy, Jędrychowski z Kruszynka lub Chełchowski z Sońska? Przecie to — jak mówią Francuzi—prawdziwa *confrérie de St. Hubert*. Dojdą do tego, że gdy 25 grudnia ogłoszą z ambon, że jest to dzień Bożego Narodzenia, słuchacze będą zaglądali do kalendarza dla przekonania się, czy to prawda.

Niepotrzebny krok.

Na konferencji, poświęconej Słowackiemu w Towarzystwie lit. i dzien., p. J. Jankowski (według *Nowej Gazety* Nr. 146) rzekł: Dramat „Samuel Zborowski" jest *„największym arcydziełem w dziedzinie poezji i najdoskonalszym objawieniem ducha ludzkiego*, zwłaszcza zaś polskiego"... Poetycka forma tego utworu „sięga do takich wyżyn, poza którymi *większe piękno wydaje się już niemożliwe*... W dziedzinie natchnienia poza „Samuelem Zborowskim *może być już tylko duch szaleństwo*, zaś w dziedzinie techniki poetyckiej — *karykatura*... Dalsze piękno w stosunku do tej formy, jaką nam dał Słowacki w Samuelu, *równałoby się śmierci*". P. Olechowski zaś (według *Gaz. Warsz.* Nr. 87) twierdził, że dzieło to „będzie miało *znaczenie ewangieliczne dla ludzkości wogóle*".

Mnie się zdaje, że obaj apologeci zrobili ten krok, który oddziela wzniosłość od śmieszności i którym wielkich poetów czcić nie należy. Całe szczęście, że głosów naszego zaścianka nie słyszy „ludzkość wogóle", bo mogłaby się bardzo złośliwie roześmiać z naszego nadęcia.

Mularze a przedsiębiorcy budowlani.

W Warszawie od lat kilku panują głód i lichwa mieszkaniowa. Większość naszej prasy usiłowała całe oburzenie zrozpaczonych z powodu tak smutnego stanu rzeczy mieszkańców skierować przeciwko robotnikom mularskim. Całe szpalty zapełniano biadaniami i narzekaniami na nadmierne uroszczenia robotników, obmyślano różne sposoby ukrócenia ich anarchji, zalecano nawet w obronie zagrożonego interesu „narodowego" sprowadzenie do Warszawy mularzy rosyjskich. Zachęceni tym przedsiębiorcy budowlani pod jesień r. z. ogłosili lokaut, który jednak dzięki solidarności robotników i ukrytemu antagonizmowi między interesami drobnych majstrów a wielkich przedsiębiorców budowlanych, nie doprowadził robotników do kapitulacji. Wśród obu stron, zmęczonych walką, przyjęła się myśl rozstrzygnięcia sporu na drodze kulturalnej za pomocą sądu rozjemczego.

Pierwsza ta u nas próba znalezienia wyjścia z anarchicznej walki, obustronnego terroru, strajku i lokautów i ustalenia w sposób kulturalny normalnych stosunków korzystnych dla obu stron w przemyśle budowlanym — niestety nie doprowadziła do pomyślnego rezultatu.

Wydanie wyroku uniemożliwiła ta okoliczność, że dwaj jedyni po długich debatach jednomyślnie obrani superarbitrzy sądu rozjemczego kolejno odmówili przyjęcie mandatu, bądź z powodu złego stanu zdrowia, bądź z powodu obarczenia innymi zajęciami ważniejszymi zapewne niż zaszczepienie w kraju idei sądów rozjemczych, ustalenie na lat kilka warunków pracy wielu tysięcy robotników i zażegnania głodu mieszkaniowego w Warszawie.

Sąd rozjemczy bez superabitrów, złożony z parzy-

stej liczby sześciu członków — przybrał z natury rzeczy raczej charakter komisji pojednawczej niż sądu. Zdołał on doprowadzić strony do porozumienia się w kwestji płacy (po 28 kop. przez pierwsze osiem godzin i 35 kop. za dziewiątą godzinę), — w kwestji wydajności pracy (75 cegieł na godzinę), lecz rozbił się o to, czy dziewiąta godzina ma obowiązywać stale, czy też jedynie w przypadkach koniecznej potrzeby.

Rozprawy sądu rozjemczego wykazały, że mularze, nie chcąc odstąpić od istniejącego już w 1906 r. ośmiogodzinnego dnia pracy, mieli w zasadzie słuszność. Okazało się bowiem, że ośmiogodzinny dzień roboczy przy gwarantowanej wydajności 600 cegieł dziennie, zupełnie zabezpiecza interesy przemysłowców budowlanych i normalny rozwój ruchu budowlanego, zwłaszcza że w ostatnich sześciu latach mularz kładł zaledwie od 250 do 550 cegieł dziennie.

Wobec przyjętej zasady płacy od godziny, ogólne koszty płacy roboczej musiałyby pozostać te same dla każdej budowli, co i przy dłuższym dniu roboczym.

Ośmiogodzinny dzień nie przedłużał czasu budowania domu o jeden sezon, jak to mylnie w prasie zaznaczano; mógł on podnieść czas budowania zwyczajnej kamienicy warszawskiej ze 120 najwyżej do 135 dni, nawet gdybyśmy przyjęli, że wydajność dziewiątej godziny będzie nie mniejsza niż każdej z poprzednich ośmiu, i że budowla znajduje się w takich warunkach, że nie można technicznie postawić na murach zwiększonej ilości mularzy.

Trzeba przytym pamiętać, że robotnicy zgadzali się w razach koniecznej potrzeby wykończenia domu na termin, pracować nietylko dziewięć, ale nawet dziesięć i więcej godzin.

Przy rozważaniu kwestji płacy stwierdzono, że wymagania robotników bynajmniej wygórowane nie są i że podwyżka płac mularzy w porównaniu z latami przedrewolucyjnymi mogła uzasadnić podwyżkę komornego najwyżej o 30 rb. rocznie na lokalu tysiącorublowym.

O ile więc usiłowanie wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia roboczego w naszych warunkach w wielu gałęziach przemysłu opartych na produkcji maszynowej i zagrożonych przez zagraniczną konkurencję możnaby słusznie nazwać nierozważnym eksperymentem doktrynerów, o tyle utrzymanie ośmiogodzinnego dnia roboczego, istniejącego od 1906 r. dla mularzy jest ekonomicznie zupełnie usprawiedliwionym, i w interesie kultury naszego kraju przez niezależną opinję publiczną popierane być winno.

Trzeba otwarcie powiedzieć, że doktrynerskie i wązko klasowe stanowisko zajęli nie mularze, lecz przedsiębiorcy budowlani.

Działali oni zresztą nie w imię własnego dobrze zrozumianego interesu, który doskonale się godzi z ośmiogodzinnym dniem roboczym, lecz pod presją Koła Przemysłowców, którzy wysunęli naprzód przedsiębiorców mularskich w urojonym interesie ogółu przedsiębiorców, by nie dawać „złego przykładu" i nie dopuścić do szerzenia się zarazy ośmiogodzinnego dnia roboczego wśród robotników innych gałęzi przemysłu.

Szeroka opinja publiczna powinna stanowczo oświadczyć się przeciw takiemu traktowaniu sprawy. Ośmiogodzinny dzień roboczy nie zrujnował u nas ani drukarzy, ani piekarzy, ani tramwajów i żadnych szkód krajowi nie przyniósł.

Poświęcanie realnego interesu przedsiębiorców i robotników budowlanych, oraz mieszkańców Warszawy chimerze urojonego niebezpieczeństwa, obciąża całkowicie sumienie obywatelskie Koła Przemysłowców.

BADANIA NAUKOWE.

Marcin Ernst: **Budowa świata.** Szkice astronomiczne. Lwów — Warszawa 1910.

„Do zajęcia się kwestją matomanji skłonił mnie ważny fakt, że z książek treści astronomicznej, które w ostatnich kilkunastu latach wydane zostały w języku polskim, przynajmniej połowę zaliczyć należy do płodów obłędu naukowego". Tymi słowy tłumaczy autor, dlaczego piątą część dzieła, mającego traktować o zagadnieniach astronomicznych i kosmogonicznych, poświęca sprawie matomanji wogóle, matomanji zaś w astronomji w szczególności. Do wskazania wytworów obłędu matomańskiego skłania autora słuszne przeświadczenie o obowiązku, jaki ciąży na nim wobec społeczeństwa, narażonego na stykanie się, na swą szkodę, z płodami umysłów otumanionych obłędem. Szkoda ta jest tym większa, że, jak twierdzi autor, matoman ma posłuch u tłumu, gdyż, stając w opozycji wobec legalnej nauki, jest wyrazicielem uczuć większości jednostek nieukształconych, z jakich tłum czytający się składa; tłum w utworach matomańskich znajduje pseudo-naukowe potwierdzenie swoich domysłów o nicości nauki, uzasadnienie żywionego względem nauki niedowierzania.

Tłum bowiem od nauki żąda nie prawdy, lecz doktryny o prawdzie, żąda on, by nauka wyrzekła się ostrożnego krytycyzmu, by krytyczne dociekania zastąpiła wiarą niewzruszoną w nieomylność swych domysłów, by jednym słowem stanęła przed jego oczyma jako nieobalona zasada, tłumacząca świat niegorzej od doktryny religijnej. Zbytnia uległość wobec tłumu wielu zdolnych nawet popularyzatorów, schlebianie mu, rozbudzanie ślepej wiary w hypotezy, mające chwilową tylko wartość w nauce, wpływa, jak słusznie twierdzi autor, na wytworzenie nieporozumienia co do istoty nauki, jej celów i dążeń. Wystarczy, żeby w oczach przeciętnej bezkrytycznej jednostki zmarła hypoteza, którą jako niewzruszoną prawdę jej przedstawiono, aby w umyśle tej jednostki powstało przeświadczenie o nicości samej nauki, lub o nieudolności „Kasty uczonych", zaprzepaszczających największe bogactwo ludzkości — wiedzę. Jeżeli osobnik przeświadczony podobnie posiada sturbowaną przez megalomanję świadomość, to napostala się wówczas i postanawia ratować ludzkość przed zatraceniem, gotowanym jej przez niepowołanych i rozmyślnie szkodliwie działających „Szkolarzy". Ta cecha apostolstwa tak jest dla psychologji matomanów charakterystyczna, że autor nie waha się określić ją, jako rozpoznawczą w profilaktyce obłędu matomańskiego.

Autor w matomanji widzi obłęd, który objawia się w tworzeniu teorji, stojących w sprzeczności z najsilniej ugruntowanymi poglądami naukowymi, a często tak dziwacznych i niedorzecznych, że powstanie podobnych pomysłów tylko zboczeniu umysłowemu przypisać należy. Zdaje mi się, że obłęd matomanji polega nie na tworzeniu teorji, stojących w sprzeczności z poglądami nauki, lecz na przeświadczeniu autora takich teorji o bezwzględnej zgodności metod, którymi się przy swoich pseudo-badaniach posługiwał, z metodami w nauce obowiązującymi. Ostrość zboczenia zależy od stopnia naukowości, jaką swoim pomysłom przypisuje, gdyż ani snucie pomysłów o świecie z częściowym lub zupełnym świadomym ignorowaniem poglądów nauki, ani pozorna niedorzeczność i dziwacz-

ność tych pomysłów za cechę obłędu poczytaną być nie może, o ile pomysły takie nie będą rościły sobie prawa do naukowości.

Nie zgodzę się również z autorem, który w matomanji widzi zło towarzyszące popularyzacji wiedzy i przez nią wywołane, ani też ze zdaniem, że matoman jest specyficznie współczesnym zjawiskiem, lub częściej występującym dziś, niż dawniej. Rozumie się, że od czasu gdy nauka wzięła rozbrat z czystą spekulacją i ugruntowała metodę na indukcji z doświadczenia, różnica między ściśle naukowym, a tym, co mimo, że naukowym nie jest, za takie chce uchodzić, zaznaczyła się wyraźniej. Nie zapominajmy jednak, że od bardzo dawna równorzędnie z nauką ścisłą istniały i istnieją całe szkoły matomańskie, w postaci okultyzmu, ezoteryzmu, które z nauką legalną walczą, jeżeli tu o walce wogóle może być mowa, i roszczą sobie pretensje do gruntowności i naukowości. Niezaprzeczenie współczesna popularyzacja wiedzy ani powołała do życia, ani specjalnie przyczynia się do istnienia tych pseudo-nauk.

Nie można jednak nie zgodzić się z autorem, że działalność matomanów jest bezwzględnie szkodliwą, gdyż potęguje ciemnotę tłumów i że należy demaskować zarówno świadomych fałszerzy nauki, jak i podlegających obłędowi matomanji. Również słuszność przyznać należy autorowi, że dużą szkodę przynoszą popularyzatorowie dogmatyzujący wiedzę lub korzystający z katedry dla głoszenia osobistych przypuszczeń, którym nadają wartość prawd przedmiotowo stwierdzonych.

W pozostałych szkicach, składających się na całość książki, autor wykazuje, jak rozumie popularyzację wiedzy ścisłej. Należy podnieść, że nie ubiega się o nic więcej tylko o ścisłość, o jasne przedmiotowe, prawdziwie naukowe przedstawienie omawianych zagadnień. Autor umie zatrzymać się u granicy rzeczy poznanych i nie przesadzać tej granicy na uskrzydlonym frazesie, ku olśnieniu czytelnika nieograniczonością potęgi nauki. Asymptotyzm nauki w dążeniu do wykrycia prawdy wszędzie jest ściśle zaznaczony. Szkice ani trochę przez to nie tracą na barwności, zyskują za to na powadze. Szczególnie dwa ostatnie szkice zbioru: „O budowie świata" i „Kosmogonja" mogą służyć za wzór, jak popularne szkice przyrodnicze pisać należy.

Co do pozostałych zrobiłbym zarzut, że autor zbyt często używa terminów naukowych niedość dla dla niespecjalisty astronoma zrozumiałych i wskutek tego utrudnia korzystanie z książki nieobeznanym z astronomją, a dla takich książka jest przeznaczoną.

Jan Grabowski.

Aleksander Gottlieb: **Położenie stróżów kamienicznych w Krakowie.** Kraków 1909.

Leży przedemną kartka z dziejów współczesnych najkulturalniejszego z miast polskich, środowiska naszej nauki i sztuki i wstyd oblewa mi czoło, że jest ono jednocześnie niebywałym już w naszych czasach środowiskiem nędzy i wyzysku. Wprawdzie chodzi tylko — o stróżów kamienicznych, o te małe kółeczka w mechanizmie współczesnego miasta, niezbędne dla bezpieczeństwa i wygody każdego mieszkańca, a zwłaszcza wyższych dziesięciu tysięcy. Dozorców tych jednak było 1802 (piąta część domów na dozorcę wogóle zdobyć się nie może), a w olbrzymiej większości są to nędzarze, jakkolwiek pracują oni i ich żony.

Praca p. Gottlieba opartą jest na wywiadach, przeprowadzonych przez koło młodzieży, zorganizowane przy uniwersytecie ludowym im. Mickiewicza w Krakowie. Wywiady dokonane były we wszystkich dzielnicach miasta i zbadały 328 wypadków.

Stróże przyjmowani są w Galicji na podstawie umowy roboczej i słuzbowej. W skutek tego służbodawca rozporządza pewną władzą dyscyplinarną, która pozwala na różne „patryarchalne" dowolności w stosunku do stróża. Wolno przeto rewidować kufry i schowki stróżów, wynagrodzenie w części przynajmniej składać się może z naturaliów, a nawet § 17 ustawy pozwala użyć środków surowszych karności domowej w *sposób umiarkowany* i zdrowiu służącego nieszkodzący. Podobno właściciele realności, nie wiadomo, czy w sposób umiarkowany, często z prawa tego korzystają. Czynności stróża ściśle przepisane, liczne i często przykre, komplikują się przez to, że służbodowcy za wynagrodzeniem kilku lub kilkunastu koron wymagają pomocy w handlu, przedsiębiorstwie, czy w mieszkaniu. Dźwiganie węgli z piwnicy, sprzątanie i froterowanie kilku pokojów, pranie, odnoszenie towarów i t. p. usługi, wykonywane przez stróża lub jego żonę, albo oboje razem, nie należą do wyjątków i często wcale nie są poza mieszkaniem wynagradzane. Wśród zajętych poza stróżowskimi obowiązkami 58 proc. tylko pobierało płacę. Wynagrodzenie w kwocie 50 kor. miesięcznie pobierało 2 dozorców, pracę zaś całodzienną wykonywało aż 26. Dochody z bramy nie mogły być obliczone dokładnie, ponieważ wywiadowcy oprzeć się tu musieli na zeznaniach ekspertów, nie popartych dowodami rachunkowymi. Zdaje się przecież, że miesięczny dochód z bramy rzadko kiedy przenosi 6 koron, bo lokatorowie dają niekiedy po 4 grosze, a norma 20 groszy, t. j. 8 kop. jest wyjątkową. Wynikiem tego uposażenia jest stały zwyczaj, że obowiązki dozorczyni pełni żona, a mąż pracuje poza domem, jako wyrobnik lub trudni się rzemiosłem.

Przedmiotem ankiety było istotne wynagrodzenie dozorców t. j. mieszkanie. Kraków wogóle należy do miast najgęściej zabudowanych i zaludnionych, o domach typu dwupiętrowego, z licznymi mieszkaniami w wilgotnych i ciasnych suterenach.

Naturalnie stróż otrzymuje mieszkanie najmniej wygodne, nie odpowiadające minimalnym wymaganiom hygieny, ciasne, ciemne, a z powodu swego ubóstwa przyjmować często musi podnajemców. Np. 31 mieszkań posiada wspólną ścianę z miejscem ustępowym. W porównaniu z istniejącymi dla mieszkań przepisami komisji sanitarnej 60 proc. mieszkań stróżowskich było przepełnionych, jakkolwiek ustawa ta tak jest interpretowaną, że w dzielnicach zamieszkałych przez ludność zamożną i inteligiencję nie przyjmuje się stróża z liczną rodziną i zakazuje przyjmować podnajemców. Przepełnienie mieszkań jednoizbowych jest w Krakowie powszechnym. Prof. Philippovich oblicza, że na 1000 mieszkań jednoizbowych w Krakowie w 15 mieszkało po 11 — 20 osób, w 258 po 6 — 10, a w 436 po 3 — 5-u. Mieszkania stróżowskie należą do najwięcej przepełnionych, można sobie tedy wyobrazić, czym są. Te mrowia ludzi żyją bez dostatecznej ilości powietrza i światła i to nietylko w mieszkaniach suterenowych, ale i w parterowych, które są na ogół ciemniejsze.

Większość stróżów zarobkuje poza tym, przeważnie jako wyrobnicy, a zarobek ten w 70 wypadkach na 100 stanowi niecałe 2 korony dziennie. Można łatwo zrozumieć, że wobec licznych u naszego proletarjatu dzieci, rodziny stróżowskie widują mięso zaledwie raz na tydzień, a liczba tych, co żywią się ziemniakami, kapustą i wodzianką dochodzi do 20 proc. To systematyczne głodzenie się w związku z zabójczymi warunkami mieszkań odbijać się musi i na śmiertelności Krakowa, wyższej niż w Wiedniu, Ołomuńcu i miastach prowincjonalnych Galicji.

Autor podaje szereg środków, które w najbliższym czasie zmienić by powinny stosunki. Zatrzymywać się przy nich nie mogę. Miejmy nadzieję, że dziś, gdy zjeżdżają się dygnitarze na uroczystość Wielkiego Krakowa, a konkurs na plan połączenia gmin podmiej-

skich z centrum świeżo został rozstrzygnięty, zwróci się również uwagę na usunięcie mieszkaniowej i życiowej nędzy stróżów. Zasługę przy tym mieć będzie niewątpliwie młodzież radykalna, która bez żadnej pomocy i subwencji ankietę swą przeprowadziła.

zdg.

R. Centnerszwerowa: **Inspektorki fabryczne wobec wzrostu pracy kobiet w przemyśle Królestwa Polskiego.** (Wydawnictwo stow. równouprawnienia kobiet). Warszawa 1910 str. 77.

Wyniki pracy p. C., drukowanej pierwotnie w ostatnim zeszycie *Ekonomisty* znane są w części czytelnikom naszym (Nr. 46 i 47 *Prawdy* z r. z.). Obecnie zaznaczyć wypada, że autorka podjęła mozolne zadanie dokładnego obliczenia robotnic, zatrudnionych w wielkim przemyśle Królestwa, wykazując, że w tkactwie i przędzalnictwie stanowią kobiety prawie połowę ogółu robotników (46,5 proc.) Fabryki przerabiające jedwab i wełnę liczą nawet wśród zatrudnionych w gub. Warszawskiej $^3/_4$ kobiet. Materjał do swego studjum czerpała autorka ze sprawozdań inspektoratów przemysłowych za granicą oraz inspektoratu fabrycznego w Królestwie i zestawiła go z godną zaznaczenia sumiennością, metodycznie i jasno. To też zarówno rozmiary pracy kobiecej w naszym przemyśle, jak i rezultaty wykonywanej zagranicą przez kobiety inspekcji fabrycznej, stanowią dostatecznie silne motywy, aby i u nas kobiety wykonywały obok mężczyzn nadzór nad pracą w wielkim przemyśle.

Autorka proponuje rozpoczęcie w tym kierunku akcji przez zorganizowanie kursów, które przygotowałyby kandydatki na ewent. posady urzędniczek inspekcyjnych wszelkich typów. Niewątpliwie należałoby rozpocząć akcję w tym kierunku, jakkolwiek w dzisiejszych warunkach będzie to jedna więcej placówka urzędnicza, na obsadzenie której społeczeństwo nasze nie będzie miało wpływu. Jak bardzo zaś użyteczność reformy od osób, jej piastunów będzie zależała, o tym wie autorka i stawia na okładce motto „Not measures but men..."

Rozprawka świadczy o poważnych studjach p. C. i stanowi bardzo pożądany przyczynek do znajomości stosunków robotniczych w kraju naszym. Jest również ważną wskazówką polityczno-społeczną, która świadczy o szerokim horyzoncie myślowym samej autorki i tych kół kobiecych. które wstąpiły u nas na drogę równouprawnienia.

D-r Z. D. Golińska.

Cecylja Walewska: **Ruch kobiecy w Polsce.** Wydawnictwo jubileuszowe im. Orzeszkowej. 1909 rok.
Kazimiera Bujwidowa: **U źródeł kwestji kobiecej.** Bibljoteka Równouprawnienia kobiet. 1910 r.

Dwie prace napozór różne, a jednak połączone ze sobą nierozerwalną wewnętrzną nicią: jedna stanowi znakomite dopełnienie drugiej. Pani Walewska daje obraz ruchu kobiecego w Polsce, przedstawia jego zewnętrzną, taktyczną stronę, pani Bujwidowa sięga głębiej, do przyczyn wewnętrznych, które ruch ten wywołały i dziś go warunkują.

Książka pani Walewskiej rozbudzi w czytelniku nie jedną myśl, opracowaną przez panią Bujwidową i odwrotnie, kto zastanowi się nad sprawami, poruszonymi przez p. Bujwidową, zrozumie napewno, dlaczego ruch kobiecy powstał jako pewna określona i zorganizowana akcja.

Pisząc zarys historji ruchu kobiecego w Polsce, miała p. Walewska dwie drogi do wyboru: mogła położyć główny nacisk na stopniową ewolucję idei wyzwolenia kobiety w Polsce, zaznaczając wybitniejsze momenty w jej rozwoju i wcielaniu się w życie, lub też przedstawić rzecz ze strony praktycznej, dając obraz tych poszczególnych dziedzin pracy, w których kobiety oddawna i z pożytkiem biorą udział.

Pani W. obrała sobie tę drugą drogę. Nie wdając się w teoretyczne rozważanie kwestji, nie badając szeroko ani jej przyczyn, ani skutków, rozpatruje pani W. w 2-ch tomikach swej pracy faktyczną stronę ruchu kobiecego, przedstawiając w formie może aż nazbyt drobiazgowej udział kobiet w pracy społecznej, oświatowej, literackiej, naukowej i artystycznej. Część pierwszego tomiku pracy p. W. poświęcona jest przeszłości, narodzinom samej idei i początkom niezorganizowanego ruchu kobiecego, właściwie czynom różnych wybitnych indywidualności kobiecych. Ruch bardziej świadomy, celowy, a głównie żądanie *pełnych* praw politycznych, społecznych i ekonomicznych dla kobiety datuje się u nas od wystąpienia na arenę życia publicznego pani Reinschmit-Kuczalskiej, która pociąga za sobą Marję Szeligę, E. Orzeszkową i W. Marrené. Pod wpływem pani Kuczalskiej i za jej inicjatywą powstają pierwsze stowarzyszenia kobiece, w których coraz wyraźniej uwydatnia się walka o wyzwolenie kobiety i dążenie do zupełnego równouprawnienia kobiety z mężczyzną.

Wyrazem tych dążeń są dziś dwie zorganizowane instytucje: Stowarzyszenie Równouprawnienia Kobiet i Związek Równouprawnienia Kobiet, których szczegółową działalność przedstawia pani Walewska z gruntowną znajomością rzeczy.

Wogóle wszystko co dotyczy chwili obecnej, współczesnego ruchu kobiecego zostało w pracy p. W. uwzględnione nader szeroko. P. W. nie zapomniała nawet o najdrobniejszych usługach, oddanych sprawie kobiecej przez poszczególne jednostki. Miejscami nawet w tej powodzi mało znaczących nazwisk tonie sama istota rzeczy, a czytelnikowi pomimowoli nasuwa się uwaga, że ważnym jest nie to, *kto* walczy, lecz *o co walczymy i dlaczego?*

Pominąwszy jednak te drobne usterki, tę chęć nieopuszczenia ani jednego nazwiska kobiety pracującej w ten lub inny sposób dla dobra społecznego, całość przedstawia się nader dodatnio, a obfitość nagromadzonego materjału może stać się źródłem, z którego w przyszłości korzystać będzie każdy, kto zapragnie zapoznać się z tą lub inną dziedziną pracy kobiet.

* * *

Z innej strony ukazuje nam sprawę kobiecą pani Bujwidowa w swej pracy p. t. „U źródeł kwestji kobiecej".

Gdy sięgniemy głębiej „do źródeł", gdy przyjrzymy się szerokim masom kobiet, będziemy musieli uznać, że *wewnętrzne niewolnictwo* kobiety jest przedewszystkim przyczyną jej upośledzonego stanowiska.

Dotychczasowy ruch kobiecy, mówi p. B., zajmował się zewnętrzną, formalną stroną życia kobiety. Tymczasem dziś zrozumiano, „że droga wiodąca do wyzwolenia kobiety prowadzi jedynie przez *odrodzenie wewnętrzne zarówno kobiety jak i mężczyzny*, przez zmianę ich wzajemnego do siebie stosunku".

Pani B. nie neguje bynajmniej wpływu warunków zewnętrznych i zależności od nich treści samego życia, słusznie jednak zaznacza, że wszelkie przepisy, przykazania i ustawy nic nie pomogą, „dopóki nie nastąpi rewizja norm etycznych, obowiązujących ludzkość dzisiejszą".

A taka rewizja musi pociągnąć za sobą przedewszystkim rozpatrzenie erotycznej strony stosunku kobiety do mężczyzny. Pani B. dotyka tu rany bolącej, rany zaognionej, w której gruntowne wyleczenie wierzy i gorąco go pragnie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że fatalny

stosunek mężczyzny do kobiety jest tym źródłem, z którego płyną wszelkie dalsze krzywdy jej życia. To też w błędzie są ci, którzy za jedyny motyw ruchu kobiecego uznają czynniki ekonomiczne. Poza tymi czynnikami istnieją wszak inne, które wprowadzają w grę indywidualność kobiety i zmuszają do protestu, do walki dla obrony własnego „ja". Te właśnie czynniki rozpatruje pani B., nadając im słuszne oświetlenie i zmuszając przez to do uznania ich wagi.

Wdzięczność należy się p. Bujwidowej za poruszenie w tak jasnej przystępnej formie tylu kwestji pierwszorzędnego znaczenia. Dziś może częściej niż kiedykolwiek należałoby powtarzać to, o czym pisze p. B., aby wpoić w ludzi wogóle a w młode pokolenia w szczególności przekonanie, że człowiek powinien być jednostką wolną, świadomą swych czynów i za nie odpowiedzialną, że on nad zmysłami swymi panować powinien, bo dopiero wówczas będzie mógł żyć w prawdzie i czystości.

Dziś dzieje się inaczej i dzieje się źle. Człowiek jest niewolnikiem swych zmysłów, to też erotyczny stosunek swój do kobiety oparł na fałszu i kłamstwie.

T. M.

LITERATURA i SZTUKA.

O naszą kulturę muzyczną.

W roku ubiegłym miałem sposobność usłyszenia w powodzi najcudaczniejszych naszych odczytów dosyć obszernego referatu o muzyce i teatrze, jako czynniku wychowawczym. Ucieszyło mnie niezmiernie, że są ludzie, których interesuje ta sprawa, i że nie ja jeden pragnę zwrócić uwagę sfer właściwych w tym kierunku.

Istniejące u nas Stowarzyszenie Nauczycielstwa Polskiego wywarło swój wpływ na wprowadzenie do programu naszych szkół obowiązkowej nauki rysunków. Sądzę, iż byłoby bardzo pożądane, ażeby i muzykę uznano za przedmiot obowiązujący, wiadomo bowiem, że dźwięki równie dobrze, jak linje, kolory, mają wielkie znaczenie pedagogiczne, znaczenie, które do dzisiaj jest niedocenione. W programach naszych szkół muzyka nie gra żadnej roli, gdyż wyznaczenia w planie kilkunastu minut na nieobowiązkowy śpiew chóralny nie możemy uważać za coś, coby miało wpływać na młodzież prawdziwie umuzykalniająco. Istnieją także w kilku szkołach męskich szumnie tytułowane orkiestry, lecz tych stanowczo nie można traktować serjo, gdyż według mnie jest to czynnik raczej ujemny, niż dodatni. Kierownicy ich, starając się dogodzić swej zwierzchności, nie dbają o rozwój muzyczny młodzieży, lecz o to, ażeby mogli jaknajprędzej coś zagrać i to koniecznie na koncercie. Takie traktowanie muzyki sprowadza bardzo niepożądane skutki: przedewszystkim brak poszanowania dla estrady, następnie wybór utworów zupełnie nieodpowiednich do celów pedagogicznych, no i co za tym idzie, — niemiłosierne partolenie. Daleko korzystniejszym byłoby wyzyskanie czasu straconego przy próbowaniu na najprostsze pogadanki o muzyce, które dałyby naszej młodzieży choć jakie takie pojęcie o tym, czym jest muzyka, — a przedewszystkim, jak jej trzeba słuchać. W podręczniku historji powszechnej znajdzie się od czasu do czasu jakieś półstronicy, poświęcone temu przedmiotowi; raz na rok klasa usłyszy jakieś kilkanaście słów o estetycznym znaczeniu muzyki, lecz co który z tego zapamięta? Czyż można dziwić się potym, że człowiek dojrzały miesza Bacha z Offenbachem, — a Straussa,— autora „Salome" ma za jedno z kompozytorem walca „Nad modrym Dunajem". Jeżeli zapytamy naszą młodzież o najpopularniejszego polskiego kompozytora, to z pewnością, co drugi wymieni Karasińskiego lub Namysłowskiego, co dziesiąty Moniuszkę,—a dopiero co dwudziesty Chopina.

Braki te wykształcenia szkolnego pokrywają się w części przez lekcje muzyki, pobierane przez uczniów zamożniejszych, lekcje te jednak, jako odbywające się w domu, usunięte są z pod wszelkiej kontroli, a jeżeli udzielane są nawet w obrębie szkoły, nie przedstawiają wiele większej gwarancji.

Zaznaczyć należy, że płeć piękna jest lepiej uposażona muzycznie, niż młodzież męska. Uprawiany przez każdą panienkę zwyczaj bębnienia na fortepianie nie byłby zły, gdyby go tylko nieco racjonalniej prowadzić, — a mianowicie: 1) rodzice nie powinni żądać od nauczyciela, ażeby dzieci jaknajprędzej umiały coś zagrać dla babci lub wujaszka na imieniny, 2) nauczyciel świadomy swego zadania powinien dbać przedewszystkim o umuzykalnienie ucznia i wyrobienie w nim poczucia piękna, poczym dopiero myśleć można o samym graniu i to dla więcej uzdolnionych.

Następnie, kobieta, z natury wrażliwsza, i na dźwięki więcej reaguje, — a co za tym idzie, chętnie bierze udział w muzykowaniu wszelkiego rodzaju, jako to: śpiewa w owych najczęściej nieudanych chórach, grywa na cztery ręce, towarzyszy do śpiewu koleżance, chętniej chodzi na koncerty i co najważniejsze, słucha ich i stara się zrozumieć. Wszystko to są warunki dodatnie, lecz szkoła i tu nie robi nic, żeby je wyzyskać.

Naszkicowawszy w krótkości obraz wykształcenia muzycznego naszej młodzieży, nie mam chyba potrzeby mówić o wynikającym stąd, zatrważającym wprost braku kultury muzycznej u ludzi dorosłych. Czyż raz jeszcze przeprowadzać trzeba ubliżające dla nas porównanie publiczności niemieckiej lub belgijskiej, słuchającej w skupieniu i ze zrozumieniem arcydzieł muzycznych, z publicznością naszą, powtarzającą ordynarne i niesmaczne kuplety z operetek i kabaretów? Czyż trzeba powtarzać pretensjonalne bzdurstwa wypowiadane bez zająknięcia w pewnych kołach, gdzie każdemu, kto jest snobem, wydaje się, że jest artystą, stereotypowe zachwyty, wymieniane w salonach, aby coś powiedzieć, wreszcie kolosalne głupstwa, pisane przez naiwnych protektorów sztuki, którzy byliby bardzo zakłopotani, gdyby ich spytać o znajomość taktów, pozwalają się jednak drukować w poczytnych pismach — i noszą szumne miano krytyków muzycznych Każdy muzyk, posiadający dość zimnej krwi, aby wysłuchać spokojnie ocen artystycznych ludzi, którym ich położenie społeczne lub zamożność pozwalają zabierać głos w każdej kwestji, może uzbierać sobie bardzo ciekawą kolekcję opinji muzycznych. Któżby np. uwierzył, że człowiek ze sfery inteligientnej, mający się za wielkiego znawcę muzyki, usłyszawszy nowy kwartet, zwrócił się do II-go skrzypka z prośbą o pożyczenie mu głosu do domu, dla przegrania go. Na zrobioną przez zainterpelowanego uwagę, że przecież to tylko jeden głos, pan ten odpowiedział: „to nic nie szkodzi, ja sobie resztę sam dorobię".

Przykład drugi. Na pewnym koncercie o dość poważnym zakroju, jedna z występujących zaśpiewała na bis walca z „Bohaterów". Mając obok siebie osobę, uważaną ogólnie za bardzo muzykalną, wyraziłem się do niej z naganą dla artystki, obniżającej świadomie poziom artystyczny. Odpowiedź brzmiała: „Wszak to Strauss". Dodałem, że „jeden z mniejszych", na co moja interlokutorka obraziła się, utrzymując, że z niej żartuję. Oczywiście miała na myśli autora „Salome".

Skonstatowawszy tak smutny stan rzeczy, nie potrzeba już nawet mówić, o jakiego rodzaju przeszkody rozbijają się wszelkie usiłowania rozpowszechnienia prawdziwej kultury muzycznej. Pominąwszy już, że gust ogółu kształci się na repertuarze kawiarni, kinematografów i kabaretów, należy wspomnieć o dwuch jeszcze przesądach, które uniemożliwiają rozwój kultury muzycznej. Po pierwsze, istnieje ogólnie rozpowszechnione mniemanie, że muzyka nie jest sztuką poważną. Odsunięta przez wychowawców do roli przyjemnego talenciku, mającego na celu jedynie rozrywkę, nie ma w oczach ogółu tej ważnej, co rysunek zalety, że przynosi pożytek bez usilnej i wytężonej pracy. Nigdzie trudniej, jak u nas wpoić przekonanie, że muzyka zadawala wyższe pragnienia ideału, i że to samo wystarcza, aby była godną szacunku i zainteresowania. Dla Polaka muzyka jest symbolem zabawki i banalnej rozrywki.

Człowiek, na którego spadła świeżo bolesna żałoba, może czytać najmniej poważne książki, przeglądać albumy z rysunkami nader lekkiej treści i nikt się tym nie zgorszy, niech mu się jednak zdarzy otworzyć fortepian i zagrać preludjum Bacha, lub sonatę Beethovena — cynizm jego oburzy dom cały, począwszy od własnej kucharki, skończywszy na stróżu.

Jeśli ktoś usiłuje zorganizować muzykę kameralną, poważną, o charakterze prawdziwie artystycznym, zamiary jego rozbiją się niewątpliwie o inną jeszcze przeszkodę, którą nazwać możemy „duchem solisty". Jest to potrzeba, a raczej nadmierne pragnienie występu, pewnego rodzaju kabotynizm, który podnieca miłość własną, psuje wszelką dyscyplinę, uniemożliwia harmonję zespołu, odbiera szacunek dla arcydzieł. To samo powiedzieć można o zespołach instrumentalnych z zaznaczeniem, że tu jeszcze więcej występuje ów „duch pierwszeństwa" i dlatego trudno jest niezmiernie stworzyć zespół dobry, ze znośnymi choćby głosami drugorzędnymi.

Czyż wynika stąd, że kwestja jest nie do rozwiązania? Czyż można, dlatego że kultura muzyczna obecnego pokolenia jest niedostateczną, zaniedbać kształcenia pokolenia następnego? Strzeżmy się tak smutnego wniosku. Nie można naturalnie liczyć na to, że wszystko da się zrobić odrazu. Nie — to też według mnie, należy zastosować środki bardzo skromne, lecz prowadzące do celu i możliwe do natychmiastowego zastosowania. Nie żądam dla złych nauczycieli muzyki ani nagłej śmierci, ani nawet obowiązku odszkodowania niewinnych ofiar, które pozbawili umiejętności słuchania i rozumienia muzyki. Zapytuję tylko osoby, które obchodzi kultura muzyczna naszego kraju, czy nie chciałyby się zgodzić na następujące zasady:

Celem wykształcenia muzycznego jest wytworzenie możliwie dużej ilości dobrych wykonawców, oraz jaknajliczniejszego audytorjum, zdolnego słuchać ze zrozumieniem i odczuciem prawdziwej muzyki.

Aby osiągnąć pierwszy punkt tego programu, wystarczyłoby ograniczyć nadprodukcją wykonawców niepowołanych, na jaką obecnie chorujemy. Weźmy tylko np. nasze koncerty dobroczynne, kto się tam nie popisuje, kto nie gra, kto nie śpiewa, kto nie deklamuje? Doprawdy, trudno się niekiedy dziwić, że nawet nasza publiczność nie przychodzi słuchać tych produkcji. Ażeby więc tego uniknąć, trzebaby stworzyć jakiś rodzaj egzaminu, czy konkursu, któryby dawał prawo koncertowania, i tym sposobem publiczność miałaby pewną chociaż gwarancję, że nie będzie narażona na wysłuchiwanie jakichś niedowarzonych popisów. Następnie rozpowszechnić wśród publiczności przekonanie, iż wybór nauczyciela muzyki powinien być choć w części tak staranny, jak wybór krawca; że w tej dziedzinie, również jak w naukach przyrodniczych lub w literaturze brak wszelkiego patentu dowodzi najczęściej absolutnej nieznajomości przedmiotu. Najbardziej interesująca młoda osoba, piękna jak marzenie, choćby była przygnębiona najdotkliwszymi ciosami losu, może udzielać lekcji muzyki wprost szkodliwych.

Druga strona programu byłaby bezwątpienia łatwiejsza do osiągnięcia, gdyby władze szkolne zechciały zwalczać pewne uprzedzenia i wpływać na rozwój gustu wśród ogółu. Szerzeniu kultury muzycznej sprzeciwia się przedewszystkim przeładowanie programów szkolnych, oraz przekonanie, że objęte nimi przedmioty są znacznie ważniejsze i pożyteczniejsze niż muzyka. Zapominamy o tym, że o wartości wykształcenia nie stanowią wypadki, ani daty, które pozostały w umyśle uczniów, lecz przyzwyczajenia, jakie im nieznacznie zostały wpojone. Ojciec rodziny, który płacze z rozczulenia, słysząc nieskończoną ilość nazw i dat, jakie potomek jego musiał wbić sobie w pamięć, by zdać maturę, nie myśli bynajmniej o tym, że lepiej znacznie byłoby, gdyby jego dziecko nauczyło się posługiwać swymi oczami do patrzenia, uszami do słyszenia, umysłem do rozumienia i myślenia. Niejeden uczeń, dorósłszy zapomni bardzo prędko nazwy miast, wojen lub osobistości historycznych, opisy przyrządów fizycznych lub formuły reakcji chemicznych, jeśli jednak zachował upodobanie do czytania, będzie mu bardzo łatwo odświeżyć i uzupełnić swoje wiadomości: nieraz kilka stron dobrego popularnego dzieła wleje w jego umysł więcej jasności, niż długotrwała nauka szkolna. Jeśli jednak w dzieciństwie nie zaznajomił się z wiadomościami muzycznymi, jeśli nie powziął przyzwyczajenia wypowiadać nuty dźwiękami a o ile jest zdolny, dźwięków nutami, pozostanie to dla niego raz na zawsze niedostępnym. W trzydziestym, a nawet dwudziestym roku życia jest już zapóźno na jakiekolwiek kształcenie się muzyczne. Dziś, gdy na każdym kroku spotkać się można z rozmaitymi zagadnieniami artystycznymi, iluż to ludzi inteligientnych rumienić się musi za ten brak elementarnej kultury muzycznej. Dlaczego nie zaliczyć do programów wszystkich egzaminów pewnego minimum znajomości przedmiotów sztuki, tak jak zaliczono minimum wiadomości z gramatyki lub historji?

Gdy już damy dziecku pewną dozę wiadomości z dziedziny muzyki, postarajmy się, aby umiało z nich korzystać, jako młodzieniec, a potym człowiek dojrzały. Trzeba je nauczyć słuchać, dając mu jak można najczęściej sposobność usłyszenia dobrej muzyki. W dużych miastach nie przedstawia to wielkich trudności: fortepian, kwartet smyczkowy, kwartet wokalny, od czasu do czasu usłyszenie jakiegoś niezbyt modnego prelegienta — oto wszystko, co potrzeba, by poprowadzić wykształcenie muzyczne w okresie nauczania elementarnego i średniego. Wyżej wymienione odczyty muzyczne, urządzane raz lub dwa na miesiąc miałyby i tę dobrą stronę, że oprócz na dzieci, wpływałyby dodatnio i na rodziców.

W małych miasteczkach zadanie to byłoby naturalnie znacznie trudniejsze, — ale nie niemożliwe. Wszędzie gdzie tylko udałoby się zainteresować kwestją popularyzacji wiedzy muzycznej, czy to niewielkie grono amatorów, czy też chętnych specjalistów, sprawa byłaby wygraną.

Pozostaje jeszcze szkoła wiejska. Tam wypada być skromniejszym w wymaganiach. Gdyby się jednak udało wszczepić w chłopskie dzieci zamiłowanie do śpiewu, nauczyć je kilku pieśni szlachetnych a prostych, których nie zapomniałyby po opuszczeniu szkoły, dać im wreszcie do ręki jaki łatwy śpiewnik, zapomocą którego uprzyjemniałyby sobie długie wieczory zimowe — czyż nie byłoby to dobre i pożyteczne?

Ostatecznie sprawa ta powinna zainteresować na serjo opinję publiczną.

Jedyną dla nas pociechą może być to, że i Francuzi, stojący pod względem kulturalnym znacznie wyżej niż my, również muzycznie są tak mało wykształ-

ceni, że ciągle spotyka się w prasie francuskiej nawoływania, by szkoła również zajęła się popularyzowaniem wiedzy muzycznej i szerzeniem zamiłowania do tej sztuki. Właśnie jeden z takich artykułów pozwoliłem sobie przystosować do naszych stosunków i puszczam go w świat w nadziei, że nie pozostanie bez echa we właściwych sferach.

Aleksander Klejn.

NOTATNIK TEATRALNY.

Jubileusz Leszczyńskiego („Halszka z Ostroga„). Na uroczystość pięćdziesięciolecia służby scenie polskiej wybrał Leszczyński niegrany dotychczas w Warszawie dramat historyczny Józefa Szujskiego *Halszka z Ostroga*. Rzecz ta, napisana przed pół wiekiem przez uczonego profesora, mającego ambicje *racjonalnej hodowli* dramatu historycznego u nas, dziś mocno już myszką trąci i przekonywa współczesnego widza, że ani teorje Szujskiego o dramacie historycznym nie ostały się, ani utwór jego do skarbnicy poezji Słowackich i Wyspiańskich nigdy się nie dostanie. Choćby z tego względu dla obecnego pokolenia widowisko to było ciekawe i pouczające. Zresztą, chodziło tym razem przedewszystkim o okazję złożenia hołdu tak bardzo zasłużonemu scenie polskiej artyście. Jubilat objął skromnie rolę drugorzędną, co oczywiście nie miało znaczenia w tym dniu, kiedy całe społeczeństwo zapragnęło uczcić złote gody ze sztuką tego, który przez tak długie lata tylu pokoleniom dostarczył podniosłych artystycznych wzruszeń.

Występy Wysockiej w Łodzi. Znakomita artystka krakowska, jedyna dziś być może w repertuarze klasycznym tragiczka polska, Stanisława Wysocka, zaangażowana przez dyr. teatru w Łodzi, p. Zelwerowicza na szereg występów gościnnych, odniosła tam wielki tryumf. Zwłaszcza w roli „Elektry” Hoffmansthala stworzyła kreację niezapomnianą.

Życzyć należy, żeby scena warszawska mogła pozyskać tę wybitną siłę dramatyczną; ułatwiłoby to obecnemu kierownikowi literackiemu wprowadzenie na pierwszą scenę polską repertuaru klasycznego i neo-klasycznego w takiej mierze, jaka teatrowi stołecznemu przystoi. Tymczasem radzibyśmy ujrzeć Wysocką bodaj w roli gościa na naszej scenie.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Wiedza* w Nr. 16 wypowiedziała ostatecznie swój pogląd na kwestję żydowską, a to z powodu dyskusji w P. Z. P. i jego uchwały. Rozpocząwszy od bardzo surowej krytyki stanowiska postępowców, *Wiedza* staje na zupełnie... tym samym. Artykuł jej nie obejmuje wprawdzie całej kwestji żydowskiej, nie dotyka zupełnie sprawy solidarności politycznej żydów ze społeczeństwem polskim a ogranicza się jedynie do sprawy żargonu, jako narzędzia, koniecznego dla zaszczepienia wśród żydów kultury europejskiej, przyznaje jednak żargonowi takie same prawa, jak i postępowcy, i z tych samych zasad.

„Współczesne życie ekonomiczne i społeczne, według *Wiedzy*, wpływa na *osłabienie narodowej odrębności żydów* [1]). Pewne okoliczności mogą czasowo zatamować ten proces, *na długo zatrzymać go nie są w stanie*. W walce o byt, w której żydzi z daleko większymi trudnościami zmuszeni są walczyć, niż ludność polska, orężem coraz to niezbędniejszym jest posiadanie języka polskiego. Nieznajomość lub słaba znajomość tego języka była i jest dotąd jednym ze źródeł upośledzenia masy żydowskiej. Nieznajomość języka, oddalenie od życia polskiego jest przeszkodą, która nie pozwala proletarjatowi żydowskiemu w pełnym tego słowa znaczeniu wejść w szeregi klasy robotniczej polskiej, wytworzyć razem z nią jedną zwartą masę, przeciwstawiającą się klasom posiadającym”.

Jest to zupełnie to samo, co i my twierdzimy: Wierzymy tak, jak i *Wiedza*, że proces asymilacyjny, pomimo przeszkód, rozwijać się nie przestanie, i uważamy, że narodowa odrębność żydów jest przeszkodą do szerszego współdziałania ich ze społeczeństwem polskim.

Wiedza widzi w tym zło tylko ze względu na cały naród, ale różnica to teoretyczna, i dwa te poglądy przeciwstawiające się według *Wiedzy*, w praktyce zleją się zupełnie, bo chyba nie przypuszcza na serjo organ wileński, aby proletarjat można było tak wyodrębnić z ogółu społeczeństwa, aby interesy ich nigdzie się nie spotykały. Zresztą ze względu na zasadę nie ma to w tym razie żadnego znaczenia.

[1]) Podkreślenia nasze.

A dalej pisze *Wiedza*:

Stawiąc taką prognozę na przyszłość, musimy jednak zgodzić się z tym, że,jeżeli w czasie obecnym język żydowski gra wybitną rolę w życiu mas żydowskich, to nie możemy przechodzić do porządku nad postulatami, które z tego faktu są wyprowadzane. *Jutro* [2]) może nie będziemy potrzebowali zaprzątać sobie głowy tymi sprawami, ale dzień *dzisiejszy* ma swoje wymagania, z którymi nie można się nie liczyć. Pewne (?) żądania w sferze językowej mają obecnie poparcie mas ludowych żydowskich, wysuwane są przez stronnictwa w ich imieniu występujące.

Usiłowanie przeprowadzenia jakichkolwiek tendencji asymilacyjnych *wbrew* dążeniom mas żydowskich, może dać powód tylko do walki, w której rozpętają się namiętności nacjonalistyczne. Jeżeli nasza burżuazja chce tę walkę zaryzykować, jeżeli chce narzucać masom żydowskim to, co przyjść może tylko, jako rezultat naturalnego procesu rozwojowego, to stanowisko klasy robotniczej jest wręcz odmienne. Może i powinna ona postulaty narodowościowe żydowskie rozważyć trzeźwo i krytycznie, może i powinna odrzucić wszystko to, co jest sztucznym tamowaniem naturalnego procesu rozwojowego (a kto i na jakiej zasadzie ma odróżniać sztuczność od naturalności?), co nie zgadza się z potrzebami życiowymi (czyimi?), co wreszcie, zaspakajając pewne, często nierealne potrzeby (a kto będzie sędzią realności?) mniejszości narodowej, w konsekwencjach swych prowadzi do naruszenia praw większości. W granicach (jak widać z powyższego, zupełnie nieokreślonych) powyższymi zastrzeżeniami nie objętych, nie ma żadnej racji do odmawiania mniejszości narodowej praw przez nią żądanych.

A oto, jakie z żądanych przez żydów praw gotowa jest przyznać im *Wiedza*. Zgadza się ona na zakładanie dla nich szkół z macierzystym językiem wykładowym, jednocześnie jednakże żąda, „żeby w tych szkołach był wykładany język większości”.

Czy to nie będzie „usiłowanie przeprowadzenia jakichkolwiek tendencji asymilacyjnych, *wbrew* dążeniom mas żydowskich”, którego się tak wyrzeka *Wiedza*. A jeżeli żydzi nie będą chcieli uczyć się języka polskiego? Na to odpowiada im *Wiedza*: musicie się nietylko uczyć, ale nauczyć. A wskutek tego ani w klasach wyższych, ani w instytucjach samorządnych żargon nie będzie już potrzebnym, ponieważ żydzi będą umieli język polski.

Musimy w każdym razie merytorycznie oświadczyć się, kończy *Wiedza*, przeciwko uprawnieniu języka żydow-

[2]) Podkreślenia *Wiedzy*.

skiego, jako języka, w którym obrady mogą być prowadzone w instytucjach samorządnych ... nawet tam gdzie żydzi są większością.

Co do żądania dopuszczenia języka żydowskiego w stosunkach z samorządem, co się sprowadza do utrzymywania przy instytucjach samorządnych specjalnego wydziału (sic!) czy urzędników dla porozumiewania się z żydami, nie mówiącymi po polsku, (czy proletarjat ma dawać olbrzymie fundusze na to potrzebne i skąd się wezmą żydzi, nie mówiący po polsku, skoro muszą się nauczyć języka polskiego?) to w *zasadzie*, nic nie można mieć przeciwko temu.

Zastrzeżenia zupełnie słuszne. *Wiedza* sama czuje, że wydziały lub specjalni urzędnicy żydowscy w instytucjach samorządu są praktycznie niemożliwi, robi więc tylko ustępstwo tymczasem, dla zasady oczywiście, zdecydowana swą zgodę na zasadę cofnąć, skoroby przyszło do jej urzeczywistnienia w praktyce.

Z tego, cośmy wyżej powiedzieli, powstaje pytanie: jeżeli, według *Wiedzy*, społeczeństwo polskie zakreśla granice żądaniom żydów (tak, jak i według nas), jeżeli *Wiedza* chce (tak, jak i my) narzucić żydom język polski, nawet wbrew ich woli, w szkołach publicznych, nie utrzymywanych przez żydów wyłącznie dla siebie, oraz w instytucjach samorządu (bo wydziałów żydowskich i specjalnych urzędników, nawet ze stanowiska *Wiedzy* na serjo brać nie można), to dlaczego *Wiedza* tak gwałtownie polemizuje z nami w sprawie żydowskiej?

* Z niwy narodowo-katolickiej.

Diennik powszechny, jak wiadomo organ stronnictwa, noszącego taką nazwę, redagowany przez jego twórcę, ks. kanonika Hipolita Skimborowicza, walczący stale z wolnomyślicielami, wrogami narodu i religji, sam, zajęty wyłącznie ich dobrem, ma w pogardzie sprawy doczesne. Wyjątek czyni tylko dla... ogłoszeń i prenumeratorów. Zresztą jest to widocznie słaba strona organów katolickich, bo nigdy dwaj konkurujący ze sobą sklepikarze tak zawzięcie ze sobą się nie kłócili, jak czynią to stale redaktor *Roli*, p. Szczepan Jeleński i redaktor *Dziennika Powszechnego*, ks. Skimborowicz. Wyobrazić sobie więc można radość sklepikarza z *Roli*, kiedy w *Dniu* przeczytał taką oto wiadomość, w artykuliku pod tytułem „Allgemeiner Tageblatt".

Wpadł mi dziś w rękę ciekawy dokument, pisany w obcym języku, a wydany przez dziennik, wychodzący „in Warschau, Warecka Strasse 15". W pierwszej chwili myślałem, że to po niemiecku, ale nie. Studjowałem przecież do licha dłuższy czas w Wiedniu, znam więc dość dobrze formy gramatyczne języka Goethego, ale z druku, leżącego przedemną nie wiele mogę wyrozumieć. Być może, że to jest właśnie ów sławny żargon nalewkowski, nie wiem — ale takie przynajmniej mam wrażenie.

W tym więc dźwięcznym djalekcie drukuje nie kto inny, lecz sam ksiądz Skimborowicz serdeczną odezwę do naszych przyjaciół, nie lubiących języka polskiego, polecając im łamy swojego pisma, jako nadające się znakomicie do reklamowania najrozmaitszych przedsiębiorstw, oraz środków i półśrodków.

Otóż — jak pisze ks. Skimborowicz — „die Herausgabe einer alttäglichen Warschauer Zeitung *Dziennik Powszechny* („Allgemeiner Tageblatt") posiada kolosalne wpływy wśród duchowieństwa, to też można w nim za niedrogie pieniądze umieszczać wszelkie inseraty, (skutek zapewniony!) a szczególniej „im Bereiche des Kirchenwesens und Schönheitspflege" (w dziedzinie spraw kościelnych, jako też pielęgnowania piękności), następnie „Vergnügungs Reisen nach Ausland" (wycieczki dla przyjemności za granicę), specjalne „Restaurants und Belustiguns Etablissements" (restauracje i tingle) i t. d.

Ksiądz redaktor nie wyjaśnił wprawdzie w swym piśmie, w odpowiedzi na artykuł *Dnia*, jaki istnieje stosunek pomiędzy godnością kapłańską, a *Schönheits pflege* i *Belustigungs-Etablissements*, ale dowiódł za to, że sztukę bałamucenia opinji posiadł aż do kuglarstwa. Wyjaśnia bowiem w swym „posterunku publicystycznym, przy którym stanął szereg katolickich szermierzy pióra", że w całej tej sprawie zawiniła „opozycja, ze strony obozu wolnomyślnego" (sic!), oraz konkurencyjne zapędy *Roli* i *Dnia*. (A gdzie żydzi?)

Aby to wykazać, odsłania ks. kanonik swą, dziewiczo niewinną duszę i tak opowiada historję „cyrkularza administracji naszej".

Zarządzający uprzednio działem ogłoszeniowym w administracji *Dziennika*, redaktor i wydawca *Zdroju Ciechocińskiego*, dr. Juljusz Bandrowski, który w kwietniu roku zeszłego ustąpił ze swego stanowiska, w ciągu kilkomiesięcznej pracy swej w administracji przyczynił się wielce do zwiększenia liczby ogłoszeń w *Dzienniku*. Pomiędzy innymi zarządzeniami z *własnej inicjatywy wydrukował* on ułożony przez siebie cyrkularz w językach polskim, francuskim i niemieckim i rozesłał w pewnej ilości egzemplarzy do znanych sobie lekarzy, stacji klimatycznych, zdrojowisk, sanatorjów, hoteli, pensjonatów i t. p.

Obecny administrator *Dziennika*, p. Br. Lewicki, od chwili objęcia swych czynności (od maja roku zeszłego) inną zupełnie obrał taktykę w kierownictwie administracyjnym i cyrkularzy żadnych, ani w kraju ani za granicę nie rozsyłał i nie rozsyła.

W tej uprzedniej więc manipulacji z cyrkularzami upatrywanie jakiejkolwiek winy dowodzić może tylko konkurencyjnej zaciekłości, nie przebierającej w środkach, i wyraźnie dążącej do szkodzenia konkurentowi za jaką bądź cenę.

Wyjaśnienie bardzo przekonywające. Nie zaznaczono w nim tylko jednej rzeczy: czy ks. kanonik nic nie wiedział o tym, że dr. Bandrowski rozsyła cyrkularze niemieckie, dla poparcia wrogiego nam przemysłu, a jeśli wiedział, dla czego temu nie przeszkodził?

Ale możemy być spokojni. Na to pytanie *Dziennik Powszechny* odpowiedzi nie da.

Za to w najbliższych numerach będzie rzucał pioruny na nienarodowych wolnomyślicieli, na żydów, popierających hakatyzm i na zaciekłość swych konkurentów.

O, duchu Ignacego Lojoli!

KRONIKA.

ARESZTOWANIE. Stały współpracownik naszego pisma, znany publicysta, p. Leon Gorecki został w dn. 16 b. m. aresztowany i wypuszczony na wolność w dniu 20 b. m.

KONFISKATA. *Kurjer Poranny* dowiaduje się, iż w Moskwie skonfiskowany został przekład rosyjski tomu nowel p. Wacława Grubińskiego p. t. *Bunt*, cieszących się tu znacznym wzięciem śród czytającej publiczności.

Podobno p. Grubińskiemu cenzura moskiewska zarzuca tendencje pornograficzne.

O MEDALJON KILIŃSKIEGO. Starszy zgromadzenia szewców, p. J. Kamiński, został w drodze administracyjnej skazany na 100 rub. kary, za umieszczenie medaljonu Kilińskiego w namiocie wystawy skór, futer i t.p., w którym mieściły się stare zabytki cechowe, przywileje nadane cechom przez królów polskich i t. p.

ZAKAZ. P. J. Waksman napisał w żargonie sztukę p. t. „Berek Joselewicz pod Kockiem". Z rozporządzenia zarządu głównego do spraw prasowych, zabroniono wystawienia tej sztuki w całym państwie.

KARA ADMINISTRACYJNA. Gienerał-gubernator warszawski skazał — jak donosi *Ziemia Lub.* — 20-letniego Wacława Nawrota, 22-letnią Marję Warakońską i 10-letnią Helenę Pawłowiczównę na 15 rb. kary lub

trzy dni aresztu za to, że ci, będąc w teatrze w Lublinie, w d. 19 grudnia r. z., nie podnieśli się podczas grania hymnu narodowego.

KARY PRASOWE. Na mocy postanowienia gienerał-gubernatora warszawskiego redakcja *Gazety Warszawskiej* skazana została na 100 rb. kary za korespondencję z Petersburga p. t. „W sosie konstytucyjnym", zaś redakcja *Frajnda* na 50 rb. za artykuł o audjencji przedstawicieli zjazdu rabinów u prezesa ministrów.

Redakcja tygodnika humorystycznego, *Mucha* skazana została w drodze administracyjnej na zapłacenie 50 rb. kary za „List Puryszkiewicza do premjera".

Wreszcie redakcja *Kurjera Porannego* skazana została na karę pieniężną za wydrukowanie wierszy Wacława Wolskiego „Golgota" i „Zmartwychwstanie".

WIELKI PROCES. W Opolu lubelskim na kadencji sądu okręgowego rozpoczął się proces przeciw 50 osobom, oskarżonym o to, że w czasie rewolucji wymordowali w okolicy kilkudziesięciu złodzizi i podpalili ich posiadłości. Świadków wezwano 150. Jako obrońcy występują znani adwokaci lubelscy. Proces będzie trwał około 10 dni.

MIANOWANIA W KANCELARJI GIEN.-GUBERNATORA. *Swob. Sł.* donosi, że wicedyrektorem kancelarji gen.-gubernatora warszawskiego, na miejsce p. Charłamowa, mianowany będzie referent III wydziału tejże kancelarji, p. Tołmaczew, którego miejsce zajmie starszy pomocnik referenta, p. Makolinskij.

STUDENCI NA UNIWERSYT. WARSZ. Według *Swob. Sł.*, na dwuch kursach w uniwersytecie warszawskim jest 1,269 studentów. Na fakultecie historyczno-filozoficznym — 291 stud.; fizyczno-matematycznym—135, na prawnym — 541; na medycynie — 302. Przeważają seminarzyści, których jest przeszło 800. Polaków jest około 80.

Wśród seminarzystów jest bardzo wielu b. nauczycieli ludowych, urzędników, a nawet i duchownych.

WIELKI LOKAUT BUDOWLANY. W tych dniach rozpoczął się w całych Niemczech wielki lokaut przedsiębiorców budowlanych.

Długotrwałe pertraktacje niemieckiego związku pracodawców z interesowanymi bezpośrednio organizacjami robotniczymi w zawodzie budowlanym w sprawie nowej taryfy zarobkowej nie doprowadziły do żadnego rezultatu. W tych dniach odbył się w Berlinie wspólny zjazd centralnego związku mularzy i robotników w zawodzie budowlanym pod przewodnictwem posła socjalistycznego Boemelburga. Odrzucono projekt taryfowy, przedłożony przez związek pracodawców na zjeździe drezdeńskim.

INTENDENCKI SĄD HONOROWY. Zarząd intendentury okręgu warszawskiego otrzymał polecenie utworzenia, tytułem czasowego zarządzenia, sądu honorowego, złożonego z oficerów i urzędników klasowych. *Swob. Sł.* zaznacza, że w skład tego sądu w Warszawie wchodzić będą tylko oficerowie, gdyż niema w intendenturze warszawskiej odpowiednich rang urzędników klasowych, zaleconych przez ustawę. Sądowi intendenckiemu podlegają też sprawy o obrazę osobistą pomiędzy urzędnikami intendentury. W takich wypadkach za jedynie przyzwoity środek satysfakcji obrażonego honoru oficera lub urzędnika uznano pojedynek.

WYSTAWA „CZYSTOŚĆ TO ZDROWIE". Otwarta w tych dniach wystawa pod powyższym tytułem odrazu zdobyła wielkie zainteresowanie śród ogółu. Szczegółowe sprawozdanie zamieścimy niebawem.

WIEC SZKOLNY. Na dzień 17 b. m. zwołany został wiec polski w Polskiej Ostrawie na Śląsku, mający zaprotestować przeciw polityce szkolnej, stosowanej przez gminy i radę szkolną krajową na Śląsku do ludności polskiej. Łudzono się nadzieją, że sejm opawski wdroży akcję, celem wymierzenia sprawiedliwości ludowi polskiemu, mającemu prawo wymagać, aby wobec niego uszanowano zasadnicze ustawy państwa. Nadzieje te jednak zawiodły, a lud polski stanął wobec przemocy i postanowił podnieść wielki protest.

Czesi rozwinęli energiczną agitację, nawołującą do uczestnictwa w tym wiecu. Pragną bowiem przeprowadzić własne prezydjum i z wiecu polskiego uczynić jakoby demonstrację czeską.

O REKOLEKCJE. Przybyli do Łowicza na rekolekcje zaproszeni dwaj OO. Reformaci z Włocławka, lecz z rozporządzenia władz musieli wyjechać z Łowicza. Przyczyny tego zakazu nie są dotychczas wyjaśnione.

WIELKI KRAKÓW. Mieszkańcy grodu podwawelskiego obchodzili 16 i 17 b. m. uroczystość historycznej doniosłości w celu upamiętania chwili utworzenia Wielkiego Krakowa przez przyłączenie gmin: Zakrzówek, Dębniki, Półwsie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Czarna Wieś, Krowodrza, Nowa Wieś, Łobzów, Prądnik i Grzegórzki-Piaski (a przyłączone niebawem zostaną jeszcze Ludwinów i Dąbie).

Rada miejska na uroczystym posiedzeniu w dn. 16 b. m. uchwaliła wydać księgę pamiątkową, ufundować kościół w nowych dzielnicach nad Wisłą, zbudować Dom ludowy, a wreszcie wybić medal pamiątkowy.

BIAŁY KRUK. W Nowym Jorku sprzedano z przetargu pierwsze wydanie noweli Edgara Allan-Poego p. n. „Murder in the Rue Morgue" (Zbrodnia przy ul. Morgue). Nabywca, znany bogacz amerykański, Pierpont Morgan zapłacił za nią kwotę bajeczną 3800 dolarów. Książeczka ta stanowiła zeszyt I. wydawnictwa *Prose Romances of Edgar A. Poe*, które ukazało się w r. 1849, nakładem księgarza filadelfijskiego, Wiljama Grahama i pierwotnie kosztowała 12 i pół centa ameryk.

NIEFORTUNNE WZLOTY. Lotnik francuski Guyot po kilkakrotnych niefortunnych próbach wzlotów na polu Mokotowskim spadł w niedzielę ubiegłą wraz z aeroplanem na ziemię ze znacznej wysokości. Latawiec został rozbity w kawałki, pilot poniósł powierzchowne obrażenia, dzięki wyskoczeniu w porę na ziemię.

„SPOŁECZEŃSTWO I PRZESTĘPCA". Na ten temat wygłosił p. Wacław Makowski interesujący odczyt w sali Stow. Techników dn. 17 b. m. na cel patronatu nad więźniami. Publiczność zebrała się, mimo niedzieli i pogody bardzo licznie — i nie żałowała tego, odczyt bowiem opracowany był bardzo ciekawie i poważnie, a wygłoszony został doskonale.

SZTUKA POLSKA W WENECJI. Międzynarodowa wystawa artystyczna w Wenecji otwartą będzie tego roku 22 b. m. w pałacu ogrodu publicznego (Giardini publici). Wystawa tegoroczna będzie mieć osobny oddział czesko-polskiego malarstwa i plastyki. Sala polska urządzona będzie według wskazówek T. Axentowicza i według jego polecenia dokonano też wyboru obrazów polskich. W galerji znajdują się utwory: Axentowicza, O. Boznańskiej, J. Fałata, K. Sichulskiego, J. Mehofera, K. Laszczki, S. Filipkiewicza i kilku innych.

„ODŁAM". W tych dniach otwarto w naszym Pałacu Sztuki wystawę (trzecią) grupy artystów *Odłam*. Zanim referent działu sztuk plastycznych zda obszernie sprawę z nowej zbiorowej wystawy, zaznaczamy, że dawno nie mieliśmy pokazu tak obfitującego w bogate, żyzne i mocne talenty, jak obecna wystawa, iście wiosenna. Życzymy jej zasłużonego powodzenia.

„KRÓL-DUCH". Ostatni wieczór literacki Tow. Lit. i Dz. Polskich chlubnie zakończył sezon tegoroczny.

Przy zapełnionej szczelnie sali Stow. Techników pierwszy zabrał głos główny referent wieczoru, p. Tadeusz Miciński, mówiąc o nieprzebranej skarbnicy myśli i poezji polskiej — o „Królu Duchu".

P. Miciński przedewszystkim zaprzeczał zarzutom, jakoby „Król Duch" był bardzo trudnym do zrozumienia. Przeciwnie, zdaniem prelegienta, poemat ten cechuje prostota wewnętrzna, lecz jest to zarazem poemat jasnowidzący, który ogląda Polskę z jej istoty, z jej wnętrza.

Skreśliwszy następnie w barwnych i pełnych polotu słowach treść „Króla Ducha", referent zastanawia się nad pytaniem, co jest kamieniem węgielnym tego poematu? Słowacki opiera się — mówi prelegient — na jaźni i szuka we wszechświecie myśli takiej, którą możnaby wszystko rozwiązać. Słowacki w sposób tragiczny stawia przed człowiekiem jego wielką zagadkę, nad której rozwiązaniem pracowali już mędrcowie indyjscy, najwięksi mężowie Greków, a którą ochrzcić można Chrystusowymi słowy: „duc in altum" (steruj wysoko).

Poprowadził następnie p. Miciński słuchaczy swych w zamierzchłe głębie naszej przeszłości i rzucając, jak obrazy na ekran, ważniejsze postacie i wypadki naszej historji — Grunwald — wielkich hetmanów — płomiennych kaznodziejów — wiek XVIII, pełen troski o reformy, — a potym legjony, małe lecz silne duchem Księstwa Warszawskiego — wreszcie rok 1831 — prelegient przychodzi do przekonania, że nad historją narodu polskiego zawisła fatalna Nike z pod Maratonu; brakowało nam ludzi wielkich, wodzów olbrzymich, którzy byliby kuźnią olbrzymich pragnień i potężnych decyzji. Nad tajemnicą tworzenia takich ludzi rozmyślała emigracja, szukali tej tajemnicy również Mickiewicz i Słowacki.

Rzuciwszy kilka uwag o mistyce oraz zaznaczywszy, że Słowacki w jasnowidzeniu mógł poznać przyszłość i w anamnezie wiedzieć przeszłość — prelegient ostrymi słowami smagał szarzyznę współczesnej Warszawy, dla której „Król Duch" jest „może nawet niebezpieczny". Niema bowiem w narodzie pragnienia uczynić z duszy swej kuźni olbrzymich pragnień, niema potężnej niezłomnej jaźni narodu.

Prelekcja p. Micińskiego była prawdziwą improwizacją. Poeta pragnął w słowa swe wlać duszę swą, aby wykazać słuchaczom potęgę myśli Słowackiego i olbrzymi rozmach „Króla Ducha". To też odczyt zrobił na słuchaczach wielkie wrażenie.

Z kolei zabrał głos p. Ignacy Matuszewski, który rozważał „Króla Ducha" ze stanowiska krytyka.

Wreszcie p. Gacki mówił o walce, jaką wypowiedziano poezji Słowackiego (Tarnowski, Tretiak, Puzyna, cenzura rządowa).

SKONFISKOWANE MEDALE GRUNWALDZKIE. Na wniosek prokuratora w Bydgoszczy skonfiskowano pamiątkowe medale grunwaldzkie, wydane przez firmę księgarską p. Stefczyka w Strzelnie. W uzasadnieniu konfiskaty powiedziano, że napisy na medalach mogłyby wywołać wśród Polaków wspomnienia, które w obecnych stosunkach pobudziłyby ich do walki przeciw Niemcom, a zatym do zakłócenia spokoju publicznego.

WYJAŚNIENIE. Komisarzom cyrkułowym rozesłano okólnik z zawiadomieniem, iż na zasadzie prawa z d. 7 marca 1809 r. (Dzien. praw Księstwa Warsz. tom. I str. 195) urzędnicy, sporządzający akty stany cywilnego wyznań niechrześcijańskich nie mają prawa żądać za to od interesantów wynagrodzenia po nad taksę i że osobom niezamożnym metryki, wyciągi z ksiąg i t. d. winny być wydawane bezpłatnie. Nadto w kancelarjach cyrkułowych w miejscach widocznych wywieszone zostaną taksy, według których interesanci mogą się orjentować w sprawie wysokości odnośnych opłat.

LIKWIDACJA „JEDNOŚCI. W Łodzi odbyło się ogólne likwidacyjne zebranie członków zawodowego Stowarzyszenia robotników przemysłu włóknistego „Jedność", zawieszonego z rozporządzenia gubernatora piotrkowskiego.

OFIARA „KURJERA PORANNEGO". *Kurjer Poranny* w artykule wstępnym z dn. 20 b. m., roztrząsając dyskusję w sprawie szkolnej, jaka z inicjatywy *Nowej Reformy* i *Kurjera Litewskiego* zawiązała się w prasie naszej, zwraca uwagę na szyderczy, pełen jadu i nienawiści artykuł, jaki *Nowoje Wremia* w tej sprawie zamieściło. Organ p. Suworina miota się gwałtownie przeciw ewentualnemu zaprzestaniu bojkotu szkoły rządowej (sic!) Nawiązując do tego nieoczekiwanego bądź co bądź ze strony *N. Wr.* wystąpienia, *Kurjer Poranny* słusznie twierdzi, że tylko „głowy dziecinnie myślące mogą czerpać swoją mądrość polityczną i społeczną z takich lub owakich perfidnych ostrzeżeń i refleksji pp. Suworina i Mienszikowa. A i bez rozczytywania się w *Now. Wrem.* wiemy, że najważniejszą naszą troską musi być utrzymanie bytu polskiej szkoły i zapewnienie jej wychowańcom możności jaknajlepszego wyższego wykształcenia..."

W tym celu, uważając, że czas najwyższy myśleć o praktycznej stronie tej troski, wydawnictwo *Kurjera Porannego* przeznacza kwotę *tysiąca dwustu rubli* na pomoc przez przeciąg lat czterech w utrzymaniu jednego niezasobnego wychowańca którejkolwiek z warszawskich polskich szkół prywatnych na uniwersytecie lub wyższej szkole specjalnej w jednym z głównych zagranicznych środowisk pracy naukowej. Zaznaczając na razie w tych kilku słowach piękny czyn obywatelskiej inicjatywy i ofiarności *Kurjera Porannego*, powrócimy do tej sprawy w następnym numerze.

GOŚCIE FRANCUSCY. Przybyli do Warszawy znani we Francji powieściopisarze i publicyści, pp. Marjusz i Ary Leblond. Znają oni stosunki polskie, pisali o nas z sympatją. Oni to zaprojektowali postawienie Mickiewiczowi pomnika w Paryżu.

Marjusz Leblond wygłosił w dn. 19 b. m. odczyt w Filharmonji o literaturze francuskiej ostatnich lat 40, którą scharakteryzował umiejętnie i w nowym świetle postawił wiele zagadnień twórczości literackiej ostatniej doby.

Zwracała powszechną uwagę w odczycie p. Leblonda ostra krytyka Nietzschego i zapatrywania takie, jak, że „życie nie jest walką", „Gienjusz jest uosobieniem dobroci".

Z polskich autorów p. Leblond zacytował tylko Aleksandra Świętochowskiego. Z rosyjskich często wspominał o Turgieniewie i Dostojewskim, a polemizował z Tolstojem.

P. Ary Leblond mówić będzie dziś (czwartek) również w sali Filharmonji o kobiecie francuskiej według powieści.

Będzie to ostatni odczyt gości francuskich.

OFIARY.

Na szkołę w Kruszynku z Mohylowa: Witold Żukowski rb. 50, Gustaw Wykowski rb. 25, Ignacy Kuczewski rb. 5, Jan Furowicz rb. 10, Włodzimierz Markjanowicz rb. 1, Ludwik Mackiewicz rb. 5, Marja Siwicka rb. 1, Medard Grodzki rb. 1, Leon Wojciechowski rb. 2. Razem rb. 100.

Janina Zalewska z Żytomierza rb. 10, Wiktor Sołomowicz z Petersburga rb. 10.

Na kolonje letnie: Wanda Sołomowiczowa z Petersburga rb. 10.

Książki nadesłane do Redakcji:

— Ernest Łuniński: „Wspominki". Z dni historycznych kart kilka, z illustracjami. Warszawa. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. gł. Wende i S-ka. 1910.

— Wincenty Lutosławski: „Ludzkość odrodzona". Wizje przyszłości. Warszawa. Nakład Gebethnera i Woffa. 1910.

— Wincenty Lutosławski: „Początek filozofji greckiej" od Thalesa do Demokryta i Sokratesa. Wydanie drugie, odbite z wykładów Jagiellońskich. Warszawa. Gebethner i Woff 1910.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.